№ 29 Warszawa, dnia 4 (16) Lipca roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Świat nudów. — O czem duma poeta — Prusacy w Frankfurcie. — Przegląd beletrystyczny. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Renata, przez Stefana Marcel.

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch Aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

OSOBY:

Bellac.
Roger de Céran.
Paul Raymond.
Toulomier.
Jenerał de Briais.
Virot.
Franciszek.
De Saint-Réault.
Gajac.
Melchior de Roynes.
Des Millets.
Księżna de Reville.
Pani de Loudan.
Joanna Raymond.
Łucya Watson.
Zuzanna de Villiers.
Hrabia de Céran.
Pani Arriego.
Pani de Boines.
Pani de Saint-Réault.

Rzecz dzieje się w Saint-Germain, w pałacu pani de Céran, w 1881 r.

AKT I.

Wielki salon kwadratowy, drzwi w głębi. Drzwi na pierwszym i trzecim planie. Z tejże strony na lewo, między dwoma drzwiami stoi fortepian. Drzwi na pierwszym planie na prawo, dalej wielkie okno wychodzące na ogród. Na lewo stół, po obu stronach krzesła. Na prawo kozetka i mały stolik, fotele, krzesła i t. d.

Scena pierwsza.

FRANCISZEK, później ŁUCYA.

Franciszek (szukając w rozłożonych na stole papierach). Tu przecie być nie może — ani tu także: „Przegląd materyalistyczny"... „Przegląd wykładów"... „Dziennik uczonych"...

(Wchodzi Łucya.)

Łucya. No cóż, Franciszku, czy znalazłeś ten list?

Franciszek. Nie jeszcze, miss Łucyo.

Łucya. Rozłożony, bez koperty, na różowym papierze.

Franciszek. Czy jest na nim adres do miss Łucyi?

Łucya. Przecież nie mówiłam ci, że to był list do mnie.

Franciszek. Tak... ale...

Łucya. Aleś go nie znalazł?

Franciszek. Dotąd nie; ale będę szukał... będę się pytał...

Łucya. Nie pytaj się, bo to daremnie, tylko szukaj sam, bo chcę go mieć koniecznie. Szukaj od miejsca w którem rano oddałeś nam listy, aż od tego salonu — nie mógł upaść nigdzie indziej. Szukaj!

(Wychodzi.)

Scena druga.

FRANCISZEK, później JOANNA i PAWEŁ RAYMOND.

Franciszek (sam, powracając do stołu). Szukaj!... szukaj!... „Przegląd kolonialny"! „Przegląd dyplomatyczny"! „Przegląd archeologiczny"...

Joanna. (wchodząc, wesoło). A! jest ktoś przecie!

Paweł (biorąc jej rękę, po cichu). Cicho! (Do Franciszka poważnie.) Czy pani hrabina de Céran jest w domu?

Franciszek. Tak, panie.

Joanna (wesoło). Idź powiedz, że pani i pan Paweł...

Paweł (j. w. zimno). Chciej oznajmić pani hrabinie, że pan Raymond podprefekt z Agenis, i pani Raymond przybywają z Paryża i mają zaszczyt oczekiwać na nią w salonie.

Joanna. I że...

Paweł (j. w.). Cicho! (Do Franciszka.) Idź mój przyjacielu.

Franciszek. Dobrze, panie podprefekcie. (Na stronie.) To widać młode małżeństwo. (Odbierając worki podróżne.) Pozwoli pan podprefekt?...

(Bierze od nich worki podróżne i wychodzi.)

Joanna. Ależ, Pawle...

Paweł. Ah! tu nie mówi się Pawle, tylko Raymond.

Joanna. Jakto, chcesz...

Paweł. Ależ powiedziałem, że tu nie można mówić „ty".

Joanna (śmieje się). Ah! to pociesznie...

Paweł. Proszę, nie śmiej się tu.

Joanna. Cóż to, mój panie, łajesz mnie?

(Rzuca mu się na szyję, on się usuwa.)

Paweł. Co robisz, nieszczęsna! A! tegoby tylko brakowało!

Joanna. Eh! nudzisz mnie!

Paweł. Oto właśnie chodzi. Czy zapomniałaś już co mówiłem ci w drodze?

Joanna. Myślałam że żartujesz.

Paweł. Miałbym żartować tu!... tu!... Odpowiedz proszę: Chcesz być prefektową czy nie?

Joanna. Chcę, skoro ci to zrobi przyjemność.

Paweł. A więc proszę cię, czuwaj bacznie nad sobą. Teraz jeszcze mówię ci „ty”, ponieważ jesteśmy sami, ale za chwilę, wobec tutejszego towarzystwa nie powiem inaczej jak: pani Raymond! Hrabina de Céran raczyła zaszczycić mnie zaproszeniem, abym przybył na parę dni do jej pałacu w Saint-Germain, i zarazem przedstawił jej młodą moją żonę; otóż wiedz o tem, że salon hrabiny de Céran jest jednym z trzech czy czterech największe wpływy posiadających w Paryżu. Nie przybywamy więc tu dla zabawy; wchodzę jako podprefekt, ale powinienem odjechać prefektem — a zależy to od niej, od nas, od ciebie!

Joanna. Ode mnie? cóż znowu?

Paweł. A tak. Świat sądzi mężczyznę po wybranej przez niego żonie — i ma słuszność. Dlatego więc powinnaś być bardzo ostrożną. Bądź poważną bez wyniosłości; niech każdy twój uśmiech będzie pełen myśli; patrz i uważaj wszystko dobrze, słuchaj uważnie, mów mało. Grzeczności i komplementów nie oszczędzaj; w tem zbytek nie zaszkodzi... Możesz także przytaczać różne cytaty, byle krótkie i głębokie, to sprawia pewien efekt... Z filozofii należy cytować Hegla; z literatury Jana-Pawła; z polityki...

Joanna. Ależ ja nigdy nie rozmawiam o polityce!

Paweł. To źle, tu wszystkie panie rozprawiają o niej...

Joanna. Nic a nic nie znam się na niej.

Paweł. I one to samo, ale to nie przeszkadza. Cytuj Puffendorf'a i Machiavel'a, jak gdyby byli najzaufańszymi twymi przyjaciołmi; o Koncylium Trydenckiem rozmawiaj z taką pewnością jakbyś na niem prezydowała. Pod względem rozrywek pozwalam ci tylko zagrać jakiś kawałek salonowy, przejść się trochę po ogrodzie, lub zasiąść do wista. Do tego ubieraj się w suknie pod szyję, wmieszaj niekiedy do rozmowy kilka frazesów łacińskich, których nauczyłem cię na pamięć, gdyż pragnę aby nim tydzień upłynie, mówiono tu o tobie: „Oho! ta młoda pani Raymond zdałaby się na żonę ministra!” Bo widzisz, gdy w tym świecie zaczną mówić o kobiecie że: stworzona na żonę ministra, prawdopodobnie mąż jej zostanie nim wkrótce.

Joanna. Chcesz więc zostać ministrem?

Paweł. Dlaczego nie!

Joanna. Ale skoro pani de Céran należy do opozycyi, jakże możesz spodziewać się awansu przez jej wpływy?

Paweł. A to dopiero naiwność! Wiedzże o tem, moja droga, iż co się tyczy posad, ten tylko odcień zachodzi między konserwatystami a opozycyą: że konserwatyści starają się o nie, a oponujący ją przyjmują. Tak, nie ulega zaprzeczeniu, tu w tym salonie zręczni ludzie wyrabiają sobie stanowiska, opinią i rozgłos, tu także wszystko to stracić można; tu pod pozorem sztuk, odczytów i literatury wpływa się na wybory; słowem, salon ten to boczne drzwiczki prowadzące do gabinetu ministrów, to przedpokój do akademii, laboratoryum powodzenia.

Joanna. Przebóg! cóż to za świat?

Paweł. Świat ten, moja droga, to nowy pałac de Rambouillet w 1881 r., świat w którym się rozprawia i pozuje, w którym pedantyzm zastępuje miejsce nauki, sentymentalność uczucie, przesadność delikatność; gdzie nigdy nie mówią tego co myślą, i nigdy nie myślą tego co mówią; gdzie nadskakiwanie jest polityką, przyjaźń wyrachowaniem, sama nawet miłość jest tylko środkiem; gdzie w przedpokoju należy ułożyć minę z jaką trzeba wejść do salonu i ugryźć się w język, aby się z czemś nie wymówić — słowem jest to świat poważny.

Joanna. Ależ to po prostu świat nudów.

Paweł. Najdoskonalszych.

Joanna. Lecz skoro takie w nim panują nudy, jakież wpływy mieć może?

Paweł. Jakie wpływy!... O złota naiwność!... nie wiesz tego, że u nas nudy wywierają wpływ wielki, olbrzymi! Trzeba ci wiedzieć, że Francuzi czują do nudów wstręt tak straszny, iż prawie sięga do poszanowania. Dla nich nudy to bóstwo nader groźne, któremu cześć się składa postawą i zachowaniem — pod tą tylko postacią rozumieją powagę. Nie powiem, że ją praktykują, ale zato gorąco w nią wierzą, woląc wierzyć niż... wykonywać. I naród ten tak w gruncie wesoły, pogardza wesołością; przestał wierzyć w zdrowy rozsądek starego swego śmiechu; ten lud sceptyczny i gadatliwy bije pokłon milczącym; ten lud wylany i serdeczny dozwala przewodzić nad sobą pedanckiej pysze i pretensyonalnej nicości kapłanów białego krawatu — tak w polityce, jak w sztuce, nauce, literaturze, słowem we wszystkiem. Szydzi z nich, nienawidzi, ucieka jak od zarazy, a mimo to obdarza ich tajemnem uwielbieniem i bezwzględnem zaufaniem. I ty pytasz jaki wpływ mogą wywierać nudy! O, moja droga, można powiedzieć, że dwa tylko rodzaje ludzi jest na świecie: ci co nie umieją się nudzić i nie są też niczem, i ci co umiejąc się nudzić i są wszystkiem... po tych co umieją nudzić innych.

Joanna. I pocóżeś mnie tu przywiózł, nieszczęsny!

Paweł. Chcesz być panią prefektową, czy nie?

Joanna. Ależ nigdy nie potrafię...

Paweł. Cóż znowu! chodzi przecież tylko o ośm dni.

Joanna. Bagatela! ośm dni nie mówić, nie śmiać się i nie całować się z tobą!

Paweł. No, ale to tylko przy ludziach! zato gdy będziemy sami... lub też gdzieś w kątku, gdzie nikt nie zobaczy... no! bądź spokojna!... zobaczysz jak to będzie rozkosznie... Będziem sobie dawać rendez-vous... w ogrodzie... wszędzie gdzie się zdarzy... pamiętasz, jak to było przed ślubem?...

Joanna. Tak, ale zawsze to nie to!...

(Otwiera fortepian i zaczyna grać piosenkę z Córki pani Angot.)

Paweł (przerażony). Ah! co ty robisz!...

Joanna. To śpiewka z wczorajszego przedstawienia.

Paweł. Nieszczęsna! także to korzystasz z moich przestróg!...

Joanna. Alboż co! czyż nie pamiętasz jaka to śliczna była śpiewka; Oboje zamknięci razem!...

Paweł. Joanno!... Joanno!... upamiętajże się!... gdyby ktoś wszedł!... to okropność!... (Wchodzi Franciszek.) Ah!... (Joanna w jednej chwili urywa śpiewkę z operetki i zaczyna grać symfonię Beethowena.) Beethowen! brawo! (Wybija takt z poważną miną.) Ah! tylko w konserwatoryum pojmują prawdziwą muzykę!

Scena trzecia.

JOANNA, PAWEŁ, FRANCISZEK.

Franciszek. Pani hrabina prosi żebyście państwo raczyli zatrzymać się pięć minut, bo właśnie rozmawia o czemś nader ważnem z panem baronem Erykiem de Saint-Réault.

Paweł. Z tym sławnym orientalistą?

Franciszek. Nie umiem panu podprefektowi powiedzieć; wiem tylko tyle, że to ten pan co miał takiego uczonego ojca.

Paweł (na stronie). I co to tyle posad zajmuje. To ten sam. (Głośno.) A więc zapewnie i pani de Saint-Réault jest także w pałacu?

Franciszek. Tak, panie podprefekcie; jest także pani margrabina de Loudan i pani Arriego, ale w tej chwili panie te są w Paryżu, pojechały słuchać wykładu pana Bellac i zabrały z sobą pannę Zuzannę de Villers.

Paweł. Któż jeszcze bawi tu obecnie?

Franciszek. Księżna de Réville, ciotka pani hrabiny.

Paweł. No, nie pytam o księżnę panią, ani o pannę de Villiers, bo to osoby domowe, ale czy jest jeszcze kto z obcych?

Franciszek. Nie ma nikogo więcej, panie podprefekcie.

Paweł. I nikogo już nie oczekują?

Franciszek. Owszem, panie. Dziś jeszcze, lada chwila, spodziewamy się przybycia pana Rogera, syna pani hrabiny, który powraca z misyi naukowej po oddalonym Wschodzie, — a nadto, ma przyjechać pan profesor Bellac, zaraz po wykładzie, i jest nadzieja, że czas jakiś tu zabawi.

Paweł (na stronie). A! i dlatego też tyle pań się tu zjechało! (Głośno.) Dziękuję ci, wiem już co chciałem wiedzieć.

Franciszek. Więc pan podprefekt zechce się zatrzymać.

Paweł. Najchętniej, powiedz pani hrabinie, że nie potrzebuje się śpieszyć.

Scena czwarta.

PAWEŁ, JOANNA.

Paweł. A toś mi narobiła strachu z tą twoją muzyką!... niech ci Bóg tego nie pamięta!... Ale trzeba przyznać żeś się zręcznie sprawiła. W jednej chwili zmienić Lecocq'a na Beethowen'a!... brawo!

Joanna. Tak, nie wiem, jak sobie radzić!

Paweł. Oho! nie żartuj, kochanie!... Ale ponieważ mamy jeszcze pięć minut, muszę koniecznie powiedzieć ci kilka słów o znajdujących się tu osobach.

Joanna. O! dajże mi pokój!

Paweł. Proszę cię, Joanno, to rzecz nieodzowna.

Joanna. Dobrze więc, ale po każdem objaśnieniu musisz mnie pocałować.

Paweł. No, dobrze! dobrze, rozpieszczone dziecko! Zresztą to niedługo potrwa, tak więc jest: matka, syn, przyjaciel i zaproszeni, a wszystko to osoby poważne...

Joanna. Dopieroż to musi być zabawne towarzystwo!...

Paweł. No, jest dwie niepoważne osoby, ale te chowam na koniec.

Joanna. Tylko najpierw płać co mi się należy. (Liczy na palcach.) Pani de Céran, jeden; syn jej, Roger, dwa; miss Łucya, trzy; dwoje państwa de Saint-Reault, jeden Bella; jedna pani Loudan i jedna Arriégo — razem ośm. (Nadstawia twarz.)

Paweł. Co ośm?

Joanna. Ośm objaśnień przecie — więc płać... (Nadstawia twarz.)

Paweł. Jakież z ciebie dziecko!... no, masz! masz! masz!... (Całuje prędko, raz poraz.)

Joanna. A! nie tak hurtem! powoli i detalicznie.

Paweł (parę razy całuje ją powoli). Czy dość? jesteś zadowolniona?

Joanna. No! teraz mogę poczekać. Zaczynaj o dwóch niepoważnych.

Paweł. Najpierw tedy księżna de Reville, bogata ciotka, po której spodziewają się spadku; ładna staruszka, kiedyś ładna kobieta.

Joanna (wpatrując się w niego badawczo). Co?

Paweł. Tak przynajmniej mówią. Troszkę narwana i złośliwie dowcipna, ale w gruncie kobieta dobra, dorzeczna, zdrowo się zapatrująca — przekonasz się sama. I nakoniec Zuzanna de Villiers, o! ta już nic a nic niepoważna, może nawet aż za mało.

Joanna. Przecież, choć jedna!

Paweł. Jest to dziewczyna siedmnastoletnia, trzpiot, rozrzucona, dużo mówiąca, często za wiele i za śmiało... o! jej historya to czysty romans!

Joanna. A! opowiedz-że mi ją!...

Paweł. Jest to córka pewnej wdowy...

Joanna. Co?...

Paweł. No! tak!... i tego szaleńca Jerzego de Villiers, drugiego siostrzeńca księżnej, którego prawie ubóstwiała. Ojciec i matka poumierali gdy dziewczę miało lat dwanaście, a całem jej dziedzictwem był spadek po marnotrawnym ojcu i spaczone wychowanie. Księżna, która ją nadzwyczaj kocha, sprowadziła ją do domu hrabiny de Céran, która ją nienawidzi, i wyznaczyła jej Rogera za opiekuna. Sprobowano oddać ją na pensyą do klasztoru, — uciekła z niego dwa razy, trzeci raz nareszcie została wydaloną i teraz tu bawi z księżną. Łatwo sobie wystawisz, że taka trzpiotka w tym domu, to jakby fajerwerk na księżycu. A co? czy nie ładna historyjka?

Joanna. Prawda, i za to darowywam ci dwa pocałunki z tych coś mi winien.

Paweł. Ah!

Joanna. A w dodatku dostaniesz dwa ode mnie.

(Całuje go.)

Paweł. Oj! ty swawolnico! (Otwierają się drzwi w głębi) A! Saint-Réaut i pani de Céran... Szczęście że nie widziała!... Przybierz prędko poważną minę, pani Raymond.

(D. c. n.)

O czem duma poeta?

O czem on duma, poeta młody,
Duma samotny, czy marzy?
Na jego licu, pełnem urody;
Jakiś rumieniec się zarzy.

* * *

O czem on duma, czy go przenika,
Spokój w naturze rozlany?
Czy czarujące piosnki słowika,
Czy lekki zefir wiośniany?

* * *

O czem on duma, czy o jutrzence,
W promieniach słońca skąpanej?
Czy o młodzieńczej tęsknej piosence,
Co niegdyś nucił kochany?...

* * *

O czem on duma, czy o promieniach
Zgasłej oddawna nadziei?
Czy o radości, czy o cierpieniach,
Czy o śniegowej zawiei?...

* * *

Czy o majowej konwalii woni,
Czy o tym dzwonku co w dali dzwoni?...

Kazimierz Lechnicki.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

(Dalszy ciąg.)

XX.

Wojska pruskie i austryackie opuszczają Frankfurt.

Od czasu sprawy Slezwig-Holsztyńskiej Sejm zwołany był do Frankfurtu na 9 czerwca, to jest nazajutrz po owym dniu w którym pan von Boesewerk o mało nie został zabity, i w którym Benedykt spełnił ów toast na cześć Francyi. Dowiedziawszy się o uruchomieniu landwery i o rozwiązaniu Izby, Sejm postanowił: iż aby nie narażać Frankfurtu wolnego i cesarskiego miasta, i uchronić go od zajść jakieby wyniknąć mogły skutkiem wojny między Austryą i Prusami, garnizony pruski i austryacki ustąpią, a miejsce ich zajmie garnizon bawarski.

Bawarya i wolne miasto postanowiły zgodnie: że Bawarya zamianuje głównodowodzącego wojskiem, a Frankfurt komendanta miasta. Na głównodowodzącego wyznaczono bawarskiego pułkownika Lessel'a, a komendantem miasta został dowódzca batalionu frankfurtskiego.

Wymarsz wojsk pruskich i austryackich naznaczony został na 12 czerwca i postanowiono: że Prusacy wydalą się dwoma extra-cugami kolei, rano o szóstej i ósmej godzinie, i koleją Men-Wezer udadzą się do Wetzlar: Austryacy zaś tegoż dnia o trzeciej po południu.

Wiadomość ta już 9 rozeszła się po Frankfurcie, i łatwo pojąć jak boleśnie dotknęła rodzinę Chandroz, Emma miała rozstać się z mężem, Helena z narzeczonym.

Powiedzieliśmy, że Prusacy mieli pierwsi opuścić Frankfurt. O piątej rano Fryderyk uścisnął i pożegnał żonę, dziecko, babunię i Helenę. Było zawcześnie, aby Karol von Freyberg mógł wejść do domu, oczekiwał więc przyjaciela na ulicy, a w przeddzień umówił się z Heleną, iż odprowadziwszy Fryderyka, spotka się z nią w małym kościołku Panny Maryi.

Na szczęście, choć w innych setki mil od siebie odległych, zrodzeni krajach, oboje byli katolicy — nic więc nie dzieliło ich nawet w najgłębszych tajnikach serca.

Dlatego zapewnie wyznaczono tak ranną godzinę wymarszu dla garnizonu pruskiego, iż wiedziano jak nielubieni byli Prusacy w Frankfurcie. Jakoż najmniejsza oznaka żalu nie towarzyszyła ich oddaleniu się; może dość osób nie spało już i patrzało z po za rolet lub zamkniętych okiennic, ale żadne okno się nie otworzyło, nie rzucono najmniejszego kwiatka któryby mówił: „Do widzenia!" nigdzie nie poruszono chustką na znak pożegnania.

Możnaby przysiądz, że to nieprzyjacielskie wojsko opuszcza nieprzyjacielskie miasto, które czeka tylko ich oddalenia, aby się obudzić i weselić.

Sami tylko oficerowie batalionu frankfurckiego przybyli przez grzeczność na dworzec, aby pożegnać uprzejmie tych z którymi bićby się pragnęli.

Fryderyk odjechał dopiero drugim pociągiem, to jest o ósmej rano, tak więc Karol później niż myślał przybył do kościoła, w którym już była Helena. Stała przy kropielnicy wsparta o biały filar. Postrzegłszy Karola uśmiechnęła się smutnie, umoczyła palce w wodzie święconej i podała mu; ujął całą rękę narzeczonej i nią się przeżegnał.

Nigdy jeszcze śliczne dziewczę nie wydała mu się tak uroczą jak w tej chwili gdy ją miał opuścić. Prawie całą noc spędziła bezsennie, modląc się i płacząc. Była ubrana zupełnie biało jak oblubienica w dzień ślubu. Gdy Karol wszedł, ostatnie łzy wypływające z serca drżały jeszcze na jej rzęsach jak krople rosy na słupkach lilii; trzymając się za ręce, poszli ukląknąć w bocznej kaplicy, w której Helena modliła się zwykle. Te wszystkie prawie ozdoby, począwszy od obrusa na ołtarzu, aż do sukienki N. Panny, jej ręką były wykończone. Ona także ofiarowała złotą koronę z perłami, spoczywającą na głowie Madonny.

— O! Święta Dziewico! zawołała, nigdy nic skrytego nie miałam przed Tobą, po pierwszem spotkaniu Karola zawołałam do Ciebie, padając na kolana: Jeźli grzechem jest kochać istotę ludzką, wielką, bezgraniczną miłością, to powstrzymaj jej rozwój w mojem sercu — niech zamrze jeźli sprzeciwia się woli Bożej... Dziś już zapóźno — miłość ta będzie dla mnie życiem lub śmiercią!

I złożone ręce wzniosła ku obrazowi Świętej Boga Rodzicielki, szepcząc słowa modlitwy.

Karol chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, potem powoli zginając kolana, zawołał:

— Przebacz Święta Bogarodzico! jeźli zapominając słów modlitw powtarzanych w młodocianych latach, nie przyszedłem jak to niewinne dziewczę do stóp Twego ołtarza, wołając: „Radź mi, prowadź i kieruj!" Niestety! wiek nasz nie jest wiekiem wiary; jak tylu innych, i ja także, nie żywiąc bezbożnej myśli odstąpienia Twych ołtarzy, omijałem je inną chodząc drogą... Choć odmiennemi drogami, oboje przychodzimy do Ciebie. Ta czysta dziewica kwiaty tylko rozrzuciła po swojej — moja splamiona wielu wykroczeniami, ale żałując przeszłości, wracam do Ciebie, wołając z całej duszy: przebacz!

Zwracając się do Heleny, dodał:

— Musimy się rozstać, Heleno, jakich przyrzeczeń żądasz ode mnie?

— Karolu, odrzekła, powtórz mi w obliczu Matki Bożej, że zawsze kochać mnie będziesz i żadna inna kobieta nie będzie twoją żoną.

Ujął jej rękę.

— Przyrzekam najchętniej, bo pokochałem cię od pierwszego spojrzenia i nigdy kochać nie przestanę. Na tym i tamtym świecie, ty jedna będziesz moją żoną, ty jedna na ziemi i w niebie!

— Dziękuję ci, odrzekła. Ja oddając ci serce, zarazem całe oddałam życie. Tyś drzewem, ja obwijającym się w koło niego bluszczem; od pierwszego ujrzenia ciebie powiedziałem sobie jak Julia: *Będę twoją lub spocznę w grobie!*

— Heleno! zawołał, czemu tak posępne słowa do tak słodkich łączysz przyrzeczeń!...

Nie słysząc słów jego, mówiła w uniesieniu:

— Jeźli ty zginiesz, ja umrę, bo serce moje do twej przeszło piersi... Nie zgłębiam i nie rozumiem tych monarszych niezgód, ale muszą być bezbożne i zbrodnicze skoro są powodem rozlewu krwi i łez kobiecych... Zupełnie mi obojętne czy

zwycięży Franciszek-Józef czy Wilhelm I, wiem tylko, że nie przeżyłabym twej straty...

— Heleno, nie mów mi tak smutnych rzeczy, jeżli nie chcesz przywieźć mnie do rozpaczy!

— Chcę tylko abyś wiedział co się ze mną stanie, i gdybyś miał umierać na placu boju, nie umierał z myślą „już jej nie zobaczę” ale powiedział sobie: „tam się połączymy”.

To powiedziawszy wieniec z róż białych złożyła u stóp Maryi.

— A teraz wróćmy do domu, rzekła przeżegnawszy się; ponieważ odjeżdżasz o trzeciej, Fryderyk, siostra i babunia zezwoli abyś aż do ostatniej chwili pozostał ze mną.

Podawszy sobie wodę święconą, wyszli z kaplicy.

Powróciwszy do domu, zwierzali sobie wzajemnie swe myśli i postanowienia. Zapytując Heleny jakie są jej kolory, na co odpowiedziała „zielony”, Karol powziął pewne postanowienie.

Ponieważ niezawodnie kroki nieprzyjacielskie nie rozpoczną się przed upływem tygodnia, zamierzał więc prosić pułkownika o urlop na ośm dni. We dwadzieścia godzin mógł stanąć w swoich górach; tam, oprócz swoich 22 strzelców, wybierze 78 najlepszych strzelców styryjskich, ubierze ich jak sam ubierał się na polowanie, uzbroi w najlepszą broń, potem poda się de dymisyi z pułku i poprosi cesarza, aby go zamianował kapitanem własnej jego kompanii wolnych strzelców. Będąc sam sławnym strzelcem i mając pod swoją komendą stu dzielnych górali, daleko ważniejsze będzie mógł oddać usługi sprawie swego kraju, niż gdyby pozostając w pułku musiał podlegać ściśle rozkazom pułkownika i karności wojskowej. Nadto jako dowódzca wolnych strzelców, mający zupełną swobodę działania, nie potrzebował trzymać się żadnego pułku, mógł walczyć gdzie i kiedy chciał byle jak najwięcej złego wyrządzić nieprzyjacielowi, zależał od samego tylko cesarza, i jemu tylko winien był zdawać sprawę ze swych wycieczek i czynności. Nie potrzebował także zbytecznie oddalać się od Frankfurtu, a miasto to było dla niego światem, bo w niem przebywała Helena. Serce nie jest tam gdzie bije, ale tam gdzie kochamy.

Prusacy ułożyli niezawodnie taki plan kampanii, aby otoczyć półkołem całe Niemcy; 'królów, wielkich książąt, książąt i ludy podniecić przeciw sobie, i posuwając się od zachodu na wschód, staczać walki w Hessyi, w Księztwie Badeńskiem i w Bawaryi — a wszystkie te miejscowości znajdowały się w pobliżu Frankfurtu. Tam więc i Karol wojować będzie, a utrzymując dobrych szpiegów dowie się zawsze gdzie znajduje się przyszły jego szwagier i potrafi uniknąć z nim spotkania.

Było to bardzo uzasadnione wyrachowanie — ale przypadek zawodzi niekiedy najlepsze.

Na tych zwierzeniach czas upływał, zbliżała się godzina druga, której oficerowie i żołnierze austryaccy mieli się zebrać na dziedzińcu w koszarach karmelickich. Karol serdecznie pożegnał baronową, uściskał dziecię leżące w kolebce przy jej łóżku, poczem wraz z Heleną zbliżył się do babki i ukląkł prosząc o błogosławieństwo.

Czcigodna matrona rozpłakała się widząc ich tak smutnych; położyła ręce na ich głowach, ale zbrakło jej głosu do wymówienia słów błogosławieństwa. Powstali w milczeniu trzymając się za ręce; ciche łzy spływały po ich twarzach.

— Heleno, rzekła litując się nad nimi, ja uściskałam twego dziadka żegnając się z nim gdy szedł na wojnę, nie widzę w tem nic zdrożnego abyś i ty w podobnych okolicznościach uczyniła toż samo, — możesz uściskać Karola.

Narzeczeni rzucili się sobie w objęcia, a babunia odwróciła się do okna nie chcąc być natrętnym świadkiem pożegnalnego ich pocałunku.

Karol odszedł; wtedy Helena przypomniała sobie, że okna domu chrzestnego ojca jej siostry, burmistrza Fellnera, wychodziły na dworzec kolei; prosiła więc dobrej swej babuni, aby ją tam zawiozła.

Kobiety, które starzejąc się nie przestały być pięknemi, zazwyczaj mają dobre serca, — babunia zgodziła się chętnie. Tak więc po osobistem i słownem pożegnaniu narzeczeni mieli jeszcze pożegnać się oczami i sercem.

Janowi rozkazano zaprzęgać jak najprędzej; podczas gdy Karol zwrócił się do koszar karmelickich, Helena miała czas dojechać do burmistrza Fellner'a.

Teraz Frankfurt inaczej zupełnie przedstawiał się niż rano; o ile ponurym i posępnym był wymarsz niecierpianych Prusaków, o tyle serdecznie żegnano lubionych powszechnie Austryaków. Wszystkie okna przybrano w chorągwie austryackie, a obok nich stały najpiękniejsze kobiety z bukietami w ręku. Ulice, któremi mieli przechodzić, tak były natłoczone, iż zdawało się, że przez ten tłum wojsko przecisnąć się nie zdoła. Na ulicy prowadzącej do dworca kolei stał pod bronią pułk frankfurtski; żołnierze trzymali broń do nogi, a każdy karabin ozdobiony był bukietem.

Tłok był tak wielki, że panie musiały wysiąść z powozu; doszły więc piechotą do domu pana Fellner'a, który choć nie wiedział jeszcze o zaręczynach, uważał jednak nieraz, że Helena jest zajęta kapitanem Freyberg. Żona jego i córki serdecznie powitały hrabinę: była to zacna i bardzo poważna rodzina; mieszkali razem z siostrą i szwagrem pana Fellner'a, którzy nie mieli dzieci.

Podczas pokoju, za świetnych czasów Frankfurtu pan Fellner i szwagier dawali przyjęcia dwa razy w tydzień. Każdy znakomitszy cudzoziemiec przybywający do miasta, mógł być pewnym najlepszego przyjęcia w domu pana Fellnera; tu właśnie Benedykt Turpin przedstawiony został baronowej Fryderykowej von Below, i jak widzieliśmy nie zapomniał o tem.

O samej trzeciej rozległy się okrzyki, wiwaty i muzyka pułkowa, maszerująca do kolei w takt marsza Radeckiego. Zdawało się, że cała ludność wyległa na ulice żegnać i odprowadzać wojsko austryackie; kobiety rzucały bukiety, powiewały chustkami, wydając okrzyki jakie same tylko kobiety wydawać umieją.

Helena poznała Karola z daleka jak tylko wjechał w ulicę; powiewała chustką a on salutował szpadą. Gdy podjechał pod okno, rzuciła mu mały bukiecik, skabiozę otoczoną niezapominajkami. Skabioza oznaczała smutek i tęsknotę, niezapominajki mówiły wyraźnie: Pamiętaj o mnie!

Karol pochwycił bukiecik i położył na sercu; dopokąd tylko dojrzeć było można, nie spuścił oka z Heleny. Nareszcie znikł za dworcem.

Helena wychyliła się tak mocno, iż obawiając się aby nie wypadła, pan Fellner ujął ją wpół i odciągnął od okna. Widząc łzy płynące z jej oczu i odgadując ich powód, rzekł z współczuciem:

— Uspokój się, kochane dziecię, w Bogu nadzieja, że powróci!

Nie mogąc zapanować nad sobą, głośnem zaniosła się łkaniem.

XXI.

Austryacy i Prusacy.

Desbarolles tak się wyraża w swojej książce o Niemcach:

„Po trzech minutach rozmowy z Austryakiem, niepodobna oprzeć się chęci podania mu ręki; po trzech minutach rozmowy z Prusakiem, koniecznie bierze ochota szukać z nim kłótni.”

Czy tak wielka różnica w organizmie jest wynikiem temperamentu, wychowania, czy też stopnia szerokości jeograficznej? — nie wiemy — ale to pewna, że przebywając granicę z Ostrowa do Oderberga; już po samem zamykaniu wagonów przez służbę kolejową można poznać, że opuściliśmy Austyą, a wjeżdżamy do Prus.

Podwójne to wrażenie szczególniej uczuwać się dawało we Frankfurcie, w tem mieście łagodnych obyczajów, wyższej ogłady i ukształcenia i bankierów-amatorów; tak więc, ojczyzna Goethego miała sposobność ocenić tę rażącą różnicę między wysoką cywilizacyą wiedeńską a szorstką protestancką powierzchownością Berlina.

Widzieliśmy, jak różne uczucia budziły w mieszkańcach oba garnizony; nie powątpiewano bynajmniej o rezultacie wojny, wierzono niezachwianie w wyższość armii austyackiej, której, — jak wnoszono z rozporządzeń Sejmu — miały przyjść w pomoc wszystkie państwa związkowe. Z tego powodu Frankfurtczycy uważali, że nie potrzebują ukrywać swych uczuć; uważali tedy wymarsz Prusaków jako odwrót pokonanych nieprzyjaciół, których już pozbywali się nazawsze, Austryaków zaś żegnali jak zwycięzkich rodaków, którym, gdyby tylko czasu starczyło, byliby chętnie powznosili bramy tryumfalne.

Salon zacnego burmistrza, do którego wprowadziliśmy czytelników, odtwarzał wiernie co miało miejsce wówczas, w południe 12 czerwca, we wszystkich salonach w mieście, bez względu na pochodzenie, ojczyznę i wyznanie ich mieszkańców.

Helena, ukryta za fotelem babki, płakała pocichu, zaś radzca Fischer, naczelny redaktor „Post Zeitung”, pisał na rogu stołu artykuł, w którym, nie umiejąc ukryć niechęci dla jednej, ,współczucia dla drugiej strony, porównywał wyjście Prusaków do nowej ucieczki, a wydalenie się Austryaków, do tryumfalnego pochodu.

Przed kominkiem, senator Bernus, jeden z najznakomitszych ludzi w Frankfurcie, odznaczający się wyższym umysłem, ukształceniem i urodzeniem, rozmawiał z doktorem Speltz, naczelnikiem policyi, który, z powodu swego urzędu, bywał zawsze doskonale zawiadomiony o wszystkiem. Różnili się bardzo w zdaniach, co ożywioną wywołało rozmowe: doktór Speltz niezupełnie podzielał przekonania Frankfurtczyków o nieomylnem zwycięztwie Austryaków.

Raporta i sprawozdania, jakie mu składano, jako naczelnikowi policyi, rzeczywiste i prawdziwe, odbierane dla własnej wiadomości a nie dla tumanienia ogółu, wykazywały mu, że wojsko pruskie jest doskonale uorganizowane i uzbrojone, pełne zapału i żądne wojny, a dwaj wodzowie jego, książę Fryderyk Karol i następca tronu, są ludźmi umiejącymi komenderować i czuwać nad wykonaniem rozkazów, zarazem energiczni i odważni.

— Ależ, mówił pan Bernus, wszakże i Austya posiada armią najlepszym ożywioną duchem,

wprawdzie armia ta została pobita pod Palestro, Magenta i Solferino, ale to przez Francuzów, którzy przecież i Prusaków pobili na głowę pod Jena.

— Kochany senatorze, odrzekł Speltz, niezmierzona zachodzi różnica między Prusakami z pod Jeny a dzisiejszymi. Owo ograniczenie, w jakiem zamknął ich Napoleon, nie pozwalając im przez lat sześć trzymać więcej jak 40,000 ludzi pod bronią, stało się właśnie narzędziem ich siły, oficerowie i administratorowie tak nielicznej armii mogli czuwać jak najtroskliwiej nad najdrobniejszemi szczegółami i doprowadzić ją do możliwej doskonałości. Ztąd także powstał landwer.

— Ale jeźli Prusacy mają landwer, Austryacy mają znów *landsturm;* cała ludność powstanie.

— Takby było gdyby ludność ta czyli ludności były zadowolnione; gdyby Węgry szczerze trzymali z nami, byłbym pewny zwycięztwa. Ale na nieszczęście, dotąd tak nie jest.

— Co ty tam robisz, Fellner? zapytał dziennikarz, spoglądając na burmistrza bawiącego się z dziećmi?

— Zajmuję się daleko ważniejszą rzeczą niż twój artykuł, panie radzco stanu; z domków sprowadzonych z Norymbergii urządzam wioskę, której baronem będzie pan Edward.

— Co to jest baron? zapytał chłopczyk.

— Niełatwo odpowiedzieć na to, odpowiedział burmistrz; jest to zarazem wiele i nic. Wiele jeźli się ktoś mający ten tytuł nazywa Montmorency, — nic jeźli nazywa się Rothschild.

— Mówią, rzekł pan Bernus, wracając do przerwanej rozmowy, że cesarz austryacki mianował głównodowodzącym jenerała Benedeck'a; czy to dobry wybór?

— Daj Boże!

— Benedeck własnej tylko zasłudze zawdzięcza swe stanowisko, zdobył je ze szpadą w ręku; zdaje się więc, że wojsko wolić go będzie niż jakiegoś arcyksięcia co przychodzi na świat feldmarszałkiem.

— Takby zapewnie było gdyby wszyscy oficerowie także jedynie własnej zasłudze zawdzięczali swe stopnie; bo wtedy choćby nawet nie wszyscy umieli komenderować, to przynajmniej umieliby słuchać. Ale, niestety! większość oficerów, to panicze awansowani przez wzgląd na ich stanowisko, protekcyą i stosunki — tacy albo niechętnie lub wcale słuchać nie będą swego dowódzcy... A potem, wiesz że wierzę w fatalizm i wpływ planet — otóż jenerał Benedeck jest saturnistą.

— Cóż to ma znaczyć?

— To, że urodził się pod wpływem planety Saturna, a ten Saturn ze swoim pierścieniem i siedmioma księżycami, jest najgorszym z planet. W mitologii, to *król strącony z nieba;* otóż Benedeck spadnie z wysokości swej chwały; Saturn *to czas pożerający swe dzieci;* Benedeck przegra bitwę i zgubi armią austryacką.

Saturn to fatalizm. Jak w alchemii nazwę Saturn nosi najpodlejszy z metali, ołów, tak w kabale każdego zgubnego człowieka nazywają saturnistą.

Henryk II-gi, Ludwik XIII, byli saturnistami. Ludzie których spotykają wielkie, nadzwyczajne klęski i nieszczęścia, chociaż bezlogicznych przyczyn, są saturnistami. Bodajbym się mylił! ale jako naczelnik policyi, miałem sposobność przekonać się wielokrotnie, że ludzie stający się powodem wielkich nieszczęść przyszli na świat pod wpływem Saturna i Merkurego... I dlatego bodajby i Austrya mogła uniknąć fatalnego wpływu Benedeck'a.

A potem nie mogą istnieć w Niemczech dwie równe sobie potęgi. Mając na północ Prusy a na południe Austryą, mają dwie głowy jak orzeł cesarski — a kto ma dwie, nie ma żadnej. W roku zeszłym byłem w Wiedniu 1 stycznia; w dniu tym corocznie nową chorągiew wywieszają w fortecy. O szóstej rano umieszczono chorągiew — za chwilę ni ztąd ni zowąd, zerwała się od północy burza tak gwałtowna, jakiej równej nie widziałem nigdy. W kilka sekund chorągiew została poszarpana w szmaty, obie głowy orła odpadły rozdarte. Zapowiada to upadek przewagi austryackiej we Włoszech i w Niemczech.

— Tam do licha! odrzekł Bernus, strasznie smutne stawiasz przepowiednie. Nietyle żal mi Austryi, bo tej dla równowagi europejskiej upaść nie dadzą, ile biednych słabszych monarchów, jak króla hanowerskiego i udzielnych książąt, którzy niezawodnie zostaną strąceni ze swych tronów.

— A nieznośny fatalisto! zawołał Fischer, skończże już raz ze swemi planetami, ze swoim Saturnem i Merkurym.

Speltz wzruszył ramionami, mówiąc:

— Każdy człowiek mniej więcej wierzy w fatalizm, i ty sam...

— O! co to, to nie!... I bardzo to szczęśliwie dla mnie, gdyż inaczej musiałbym teraz być w wielkim strachu.

— A to czemu? zapytał senator Bernus.

— Czy wiesz co mi przepowiedział ten młody Francuz, panie Speltz, ten z którym tak wiele mówiłeś o jakichś tajemniczych naukach? Bardzo miły chłopak, gdyby nie niebardzo miłe przepowiednie jakie wygłaszał. Jakże to on się nazywał, Felner'ze? poznałem go u ciebie.

— Benedykt Turpin, odpowiedział burmistrz, a głos jego zadrgał lekko; czy to i tobie coś przepowiedział?

— Muszę przyznać, że opierał się długo, i musiałem go przymusić prawie, aby mi powiedział wszystko. Zapytał mnie ile mam lat? odpowiedziałem: 49 i miesięcy ośm. „W takim razie pozwól pan abym w przyszłym dopiero roku wypowiedział ci moją przepowiednię, bo wtedy żadnej nie będzie mieć wagi.” Łatwo panowie pojmiecie że takiem powiedzeniem zaostrzył tylko moją ciekawość — nalegałem więc koniecznie aby mówił. „Wybierz się pan w podróż na sześć miesięcy, rzekł.”

— Tak, będę podróżować a któż będzie za mnie redagował moją gazetę? No, więc redaguj pan gazetę, ale zarazem napisz testament. Linia życia urywa się nagle między wzgórzami Marsa i Wenus.” Powiedział to trzy miesiące temu; mam teraz lat 49 i miesięcy 11, już więc prawie tylko miesiąc życia mi pozostaje.

— Tam do licha! rzekł Fellner, zmuszając się do uśmiechu.

— Fellnerze kochany, śmiejesz się jakoś półgębkiem; powiedzże co tobie przepowiedział?

— Mnie?

— No tak.

— Oho! Fellnerze, kazałeś mi powiedzieć co mnie czeka, powiedzże nam co przepowiedział tobie?

Wszyscy z ciekawością spojrzeli na burmistrza.

— A więc przepowiedział mi coś daleko gorszego.

— A cóż już może być gorszego jak śmierć?

— Jest przecie wiele rodzai śmierci, jedne mniej drugie więcej przerażające... Mnie, naprzykład przepowiedział...

Zawahał się i nie dokończył.

— Ale powiedzże przecie, zdawałoby się, że słowa więzną ci w gardle.

— Nic dziwnego. Powiedział, że umrę powieszony.

— Co?... krzyknęli wszyscy razem.

— Co prawda, ponieważ sam się mam powiesić, ode mnie więc zależy nie uczynić tego, i przyrzekam wam najuroczyściej, że nigdy w życiu nie zrobię pętlicy i nie zawiążę węzła.

Przyrzeczenie to powitano głośnym wybuchem śmiechu. Tylko żona burmistrza zbladła bardzo, i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekła:

— Nic mi o tem nie mówiłeś.

— Chciałem wywołać większe wrażenie, rzekł śmiejąc się Fellner, i widzisz nie zawiodły mnie oczekiwania.

Miał słuszność; przykre i silne wrażenie od żony udzieliło się córkom, a od tych gościom. Sam tylko przyszły baron, mały Edward, zasnął spokojnie marząc zapewne w którem miejscu wznosić się będzie jego pałac.

Fellner zadzwonił trzy razy i weszła do sali piękna wieśniaczka z Księztwa Badeńskiego, poznawszy że na nią dzwoniono.

Wzięła śpiące dziecię i już wyjść z niem miała, ale pan Fellner zatrzymał ją, i chcąc rozproszyć przykre wrażenie, jakie ogarnęło obecnych, rzekł kładąc rękę na jej ramieniu.

— Lindo, zaśpiewaj nam tę piosnkę, jaką w Księztwie Badeńskiem matki usypiają dzieci.

Poczem rzekł do zebranych gości.

— Posłuchajcie panowie pieśni śpiewanej dotąd pocichu, po całem Księztwie Badeńskiem — może za dni kilka nadejdzie godzina, że głośno śpiewać ją będą. Linda nauczyła się jej od matki swojej; biedna kobieta śpiewała ją przy kolebce jej brata. Ojciec jej rozstrzelany został przez Prusaków w 1848 roku. No, śpiewaj nam, Lindo, jak śpiewała twoja matka.

Linda oparła nogę na krześle, aby lepiej trzymać na ręku dziecię, i zaczęła śpiewać przyciszonym, drżącym nieco głosem.

„Śpij cicho, dziecię moje, śpij, bo Prusak idzie. Zabił twego ojca, zagrabił dobytek twej matki; jak tylko kto nie śpi cicho, Prusak zamyka mu oczy. Śpij cichutko, dziecino, bo Prusak nadchodzi.

„Prusak wyciąga krwawą swą rękę po dogorywający Baden; bądźmy wszyscy milczący i niemi, jak mogiła mego męża. Śpij cichutko, śpij dziecino, bo Prusak nadchodzi.

„W Darmstadt wygrywa on taniec, któremu śmierć takt wybija; taniec ten, dzięki kulom, czyni wolnymi tych, co go tańczyć będą. Śpij cichutko, śpij dziecino, bo Prusak nadchodzi.

„Bóg jeden wie, jak długo jeszcze mamy czekać jutrzenki, której cudowna jasność rozbudzi uśpioną wolność! Śpij cichutko, śpij dziecino, bo Prusak nadchodzi.

„Ale gdy wybije ta święta godzina, to choć tak ciasna przestrzeń otacza mogiłę twego ojca, niejeden wróg padnie na niej. O! wtedy krzycz, dziecię drogie, krzycz: *Prusak tam leży!*”

Piastunka z takiem czuciem śpiew ten odśpiewała, że dreszcz przebiegł wszystkich. Głuche milczenie zapanowało w sali.

Wyszła z dzieckiem; zapomniano jej przyklasnąć.

— Przebóg! przebóg! rzekła cicho do babki Helena; Prusacy, to Fryderyk! Austryacy, to Karol!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg).

I tutaj nasuwa mi się pytanie względem wydawania pośmiertnych rękopisów wogóle, mało one zwykle przysparzają autorowi sławy, a najczęściej zawodzą powszechne oczekiwania.

Którenże bowiem z autorów nie ma gdzieś w głębi swego biurka jakich młodzieńczych prób lub nieudanych utworów, których nigdy do druku nie przeznaczał, a które po jego śmierci wydane, czynią nieraz wrażenie niedyskretnej przysługi, oddanej przez rękę bezświadomą krzywdy jaką tym sposobem wyrządza.

Z drugiej znowu strony, wszystko co rzuca światło na myśl niepospolitych ludzi i na ich twórczą działalność, stanowi ciekawy psychologiczny przyczynek do historyi ich duchowego rozwoju, obchodzi więc niezmiernie tych wszystkich którzy śledzą i badają podobne procesy.

Dzieła naszkicowane, lub odrzucone przez autora, stanowią nieraz najciekawsze dokumenty, nietylko względem jego sposobów tworzenia tej pracy odrębnej, zasadzającej się na oblekaniu ciałem myśli i wyszukania dla niej odpowiedniej formy, ale i co do przekonań swego twórcy nieraz głęboko ukrytych i niezawsze odpowiadających temu co głosił jawnie.

Wiele więc powiedzieć można za i przeciw wydawaniu pośmiertnem prac nieprzeznaczonych do druku, tak samo jak prywatnych korespondecyi. Wydawnictwa te czynią najczęściej wrażenie przykre, jakby nadużycia zaufania, lub też wydają się aktem brutalnej przemocy, przeciw której umarły bronić się nie może, wrażenie to wzmaga się w miarę tego im listy i zwierzenia miały bardziej prywatny charakter, im przeznaczone były dla szczuplejszego grona lub zaufańszej osoby, ale w takim razie właśnie rzucają one większe światło na samą istotę człowieka i pokazują go często nie takim jakim chciał się przedstawić, ale jakim był rzeczywiście.

Światło, jakie pada tym sposobem na bohatérów pióra, bywa rozmaitego rodzaju, a jeśli listy Słowackiego pomniejszyły w niektórych oczach wielkiego poetę i odkryły w nim niemal dziecinne strony charakteru, to znowu korespondencya Balzaka odkryła światu wiele uczuć i faktów, o które nikt nie posądziłby autora „Ludzkiej Komedyi", gdyby jedynie wedle dzieł tworzono sobie obraz człowieka.

Papiery Gabryeli nie mają bynajmniej tej doniosłości. Gabryela zresztą należała do tych subjektywnych autorów, którzy malują się w każdej scenie a nawet w każdym peryodzie dzieł swoich. Tak też dzieje się w „Kasi i Marynce", gdzie jako bohatérka główna, występuje ona sama pod imieniem Katarzyny Aleksandryjskiej, wkoło niej zaś przesuwa się galerya kobiet, które wszystkie dziwnym kaprysem noszą imię Maryi w rozmaity sposób zmodyfikowane, a na dalszym planie mniej wyraźna jeszcze galerya mężczyzn, których nazwaćby można tutaj motywamy uczuć.

Wszystkie jednak te figury widzimy jakby za gazą; mają one swoją indywidualność głęboko doszukaną, ale kontury ich rozpływają się w mgle jakiejś, widzimy pełno pojedyńczych rysów i to rysów charakterystycznych, ale rysy te nie tworzą posągowych kształtów, więcej w nich subtelności niż siły, rozumowania niż wyobraźni, pojedyńczych stron niż plastyki.

Być może, iż te wszystkie braki wypełniłyby się, przy istotnem powieściowem obrobieniu notat, że autorka uzupełniłaby je i z bladych cieni utworzyła żywe postacie, jak czyni malarz gdy ze szkiców tworzy obrazy.

W szacie słowa, w jakiej ukazała się obecnie „Kasia i Marynka", stanowi szereg rozumowań i obrazków luźnych, wszystkie one jednak tyczą się kwestyi małżeńskiej dla kobiety, a raczej pytania, czy godzi się lub nie godzi kobiecie iść do ołtarza bez miłości, i czy w podobnym związku szczęście jest możliwe?

Pytanie iście drażliwe, które każdy rozwiązać może jedynie co do samego siebie, bo ażeby orzec o prawdopodobnej przyszłości takiego związku, a nawet związku opartego na przywiązaniu wzajemnem, trzebaby zdefiniować tysiące rzeczy, które, wymykają się definicyi a przedewszystkiem ustosunkować dozę sympatyi czy antypatyi szacunku i poważania, na jakie każde ze współmałżonków zasługujuje a dalej stopień ich duchowego rozwoju i temperaturę serca.

Gabryela przecież zdaje się troskać jedynie o przyszłość kobiety; bierze też tę kwestyą z czysto kobiecego stanowiska i opisuje rozmaite szczęśliwe stadła, w których żony poszły nie za głosem uczucia, ale rozsądku, oraz jedno złączone miłością, które się bardzo niefortunnem okazało. Nie potępia jednak bynajmniej, jakby to pozornie sądzić można, konwencyonalnych związków, widocznie sili się być rozsądną, chce pozbyć się własnych poglądów a przyswoić sobie cudze.

Tutaj najwybitniej rysuje się stanowisko umysłowe i moralne, do jakiego doprowadziło ją życie. Widziała upadek tylu świetnych marzeń, niepowodzenie gorąco ukochanych idei, idei którym służyła gorącem entuzyastycznem sercem, iż doszła do zwątpienia, nie o ludziach jako o reprezentantach tych idei mniej więcej wiernych, ale o ideach samych. Z właściwą więc sobie sumiennością, zupełna we wszystkiem, wyrzekała się spokojnie nawet już bez widocznej goryczy swych dawnych przekonań i wiary, ale ponieważ bez wiary pozostać nie mogła, starała się zniżyć swoją moralną skalę do skali ogólnej, jakby przyznając, że w walce toczącej się pomiędzy nią a światem, słuszność nie leżała bezwarunkowo po jej stronie.

W „Kasi i Marynce" nie znajdujemy już tych namiętnych zapytań, rzucanych z tak rozpaczliwą siłą w „Białej Róży". Nie, tutaj już faza rwań gwałtownych minęła, autorka spogląda na dawne marzenia i dawne ideały swoje ze spokojnym smutkiem, jak się patrzy na stare mogiły ukochanych, od lat wielu trawą porosłe, kiedy tych mogił jest już bardzo dużo na cmentarzu życia.

Pierwsze gorycze rozlicznych rozczarowań minęły, wszystko na świecie okazało się innem zupełnie niż sądziła, zrazu rzucała gwałtowne pytania („Poganka", „Książka pamiątek", „Biała Róża", „Przy kominkowym ogniu"), szydziła krwawo („Caprinio", Biała Róża") aż wreszcie przyszła faza spokoju i względnego ukojenia. Gabryela zrozumiała, że to co jest, być musi, że fakty mają głębsze ogólniejsze znaczenie niż to jakie im jednostka w chwili bólu nadaje, że jeśli ona uczyniła szalenie spotykając się z koniecznością bytu, świat nie mógł być jedynie za to odpowiedzialnym, ani mógł przetworzyć się gwoli jej marzeń, że zachodziło tutaj nieporozumienie w którem i ona nie była bez winy, skoro wyobrażała sobie ludzi, ich stosunki, uczucia i myśli innemi niż były rzeczywiście.

Pospolita natura ograniczyłaby się dumnem przeświadczeniem własnej wyższości, ale Gabryela dumną ani samolubną nie była, nie zaślepiała jej miłość własna, spoglądała wkoło i przyszła do przekonania pełnego prawdziwej pokory, że ludzie stojący na zupełnie odmiennem z nią stanowisku, ludzie w karności i zgodzie z powszedniemi ustawami świata, któremi tak dawniej gardziła, byli użyteczni, dobrzy i szczęśliwi, nawet bez zaprzeczenia szczęśliwsi, a może i użyteczniejsi od niej. Oto jest prawdopodobna geneza pani Maryi, tej rozsądnej, dobrej, obowiązkowej pani Maryi, która tak rozsądnie, porządnie i zacnie urządziła się w domu w rodzinie, w świecie, tej pani Maryi, która jest prawie doskonałą, ale którą przytem autorka obdarzyła tak konwencyonalną ciasnotą pojęć, iż nie chciałoby jej się mieć ani za matkę, ani za żonę, ani za przyjaciółkę i że ta ciasnota pojęć, poniekąd jej równomierną doskonałość tłomaczy. Tej pani Maryi w końcu, o której nie możemy powiedzieć z pewnością, czy ta ciasnota pojęć była rzeczywistą, czy też pełna konsekwencyi kobieta urobiła ją sobie wedle potrzeby—z rozsądku.

W duchowej fazie, jaką ujawnia stworzenie podobnej postaci, pospolita natura byłaby porzuciła samotne tory i zeszła na owe wzgardzone dawniej ścieżki, ale Gabryela i tego nie uczyniła, a nawet nie próbowała uczynić, wiedziała aż nadto dobrze, iż to byłoby zupełnie daremnem, bo ona także ulegała koniecznym prawom swojej natury, widziała każdą rzecz głębiej, wszechstronniej, inaczej niż ogół, stosownie więc do tego musiała czuć i myśléć. Ztąd też wady, cnoty i wszystkie stosunki ludzkie, ukazywały jej się w odmiennem świetle niż to zazwyczaj ma miejsce. Każda karta jej książek dostarcza na to dowodów.

Oto np. jak w „Kasi i Marynce" p. Nepomucen jedna z umiłowanych przez autorkę postaci, występuje gorąco przeciwko cnocie najpowszechniej wielbionej i zalecanej — łagodności. „Łagodny mi nie dokuczy ale i nie obroni, spokojnie zniesie własne nieszczęście i spokojnie także na nieszczęście bliźnich popatrzy. Nie życzę ci ani łagodnych obywateli w sąsiedztwie, ani łagodnych stronników w opinii, ani łagodnych przyjaciół w trudnych położeniach, nie życzę byś spotkał w życiu piękną i łagodną kobietę, której słowo każde będzie brzmiéć tak słodko, jak gdyby cię kochała. Nie życzę ci gdy będziesz potrzebował na chleb lub dobre imię pracować, domem i sumieniem własnem zarządzić, nie życzę ci łagodnej żony, ani każdemu dziecku co się do spełnienia ciężkich obowiązków rodzi, co złego z dobrem odróżnić nie umie, łagodnej matki nie życzę."

I tak dzieje się z definicyą każdego po szczególe uczucia, stosunku lub wypadku, która u Gabryeli jest zawsze zupełnie oryginalną. A jak trafnie charakteryzuje ona rozdźwięki w wychowaniu pomiędzy tem czego dziecko uczą, jakie mu przykłady wskazują, a za co odbiera połajania. Jak np. owa historya Marynki, która nasłuchawszy się opowiadań o dobroczynności Ś-tej Elżbiety, rozdają-

cej wszystko co posiadała ubogim, gdy niespostrzeżona przez bonę, wykradła się po za obręb dworskiego dziedzińca, oddaje bosej dziewczynie śliczne trzewiczki i pończoszki.

Naturalnie Marynka złajaną została za to, że poszła za przykładem świętej, którą jej przecież za wzór dawano. Gabryela widzi w tem słusznie jeden z powodów niekonsekwencyi rządzących ludźmi, bo ten fakt powtarza się nieustannie we wszystkich stosunkach.

Nie dziw, że z tak odrębnemi pojęciami, z tak bystrem nieobałamuconem poglądem, Gabryela nie mogła iść w takt z ogólnemi pojęciami. To też nie próbowała nagiąć się daremnie do panujących idei, ale jej badawczy umysł zestawiając fakta rozdźwięku pomiędzy tem co czuła sama a co czują i doświadczają inni, próbował wytworzyć z tego teoryą przystosowaną do szczęścia kobiety. Tłomaczy więc, że istnieją trzy rodzaje kobiet, jakby należących do trzech królestw: zwierzęcego, roślinnego i kopalnego: kobieta-zwierzę kocha bez wyboru i wyłączności każdego który na drodze jej stanie, kobieta-roślina kocha także bez wyboru, ale już wyłącznie jednego, a kobieta-dyament kocha z wyborem i wyłącznością zarazem, i raczej przejdzie przez życie samotna, niżby miała oddać się takiemu, który jej nie odpowiada swą duchową wiarą.

Stosownie do tego do jakiego rodzaju należy kobieta, szukać jej należy szczęścia w konwencyonalnem lub miłosnem małżeństwie, bo tam gdzie jedna byłaby zupełnie zadowoloną druga cierpiałaby szalenie. Dlategoto Marynka może swobodnie iść za pana Filipa, dlatego Marynia była zawsze szczęśliwą żoną pana Marcina chociaż robiąc dobrą partyą, według rady rodziców, stłumiła skłonność serca dla pana Nepomucena, a dalej szukając przykładów po za obrębem powieści, zrozumimy dla czego autorka sama nie weszła w związki małżeńskie.

Teorya to jednak czysto doktrynerska a podział przypomina niejako kategorye niewieście Dumasa (syna) w osławionej broszurce L'homme-femme. Życie co chwila rozrywa ciasne szranki jakie mu one stawiają i płynie szerokim różnorodnym strumieniem na przekór ciasnym definicyom które odpowiadać mu nie mogą.

Jeśli bowiem w państwie przyrody tyle jest rozmaitości i tak trudno znaleźć właściwe granice, gdzie kończy się jeden rodzaj a drugi zaczyna, chociaż te opierają się na fizycznych cechach, cóż mówić o nieskończonej rozmaitości umysłów i serc, o pomieszaniu i ustosunkowaniu rozmaitych subtelnych pierwiastków, które składają się na charakter. Jakże tu orzec do jakiego rodzaju należy kobieta, kiedy rozmaitemi cechami spokrewnia się z każdem z nich i w jakim związku wypada jej szukać szczęścia.

Dowcipnej więc tej definicyi brak prawdy, jak wogóle wszystkim definicyom tego rodzaju. Tłomaczy ona jednak potrzebę umysłową autorki pogodzenia własnych uczuć z uczuciami świata, wywalczania jakiej bądź formuły któraby czyniła zadość zarówno żądaniom jej serca jak i stokroć bardziej ograniczonym żądaniom serc innych.

Jużto przyznać należy, że Gabryela stokroć była bieglejszą w pytaniach niż w odpowiedziach. Szereg jej dzieł to szereg pytań nierozwiązanych nigdy, pytań subtelnych, pytań dziwnie trafnych, świadczących z jak wszechstronnie bogatego pochodziły umysłu.

Łatwiej jednak stokroć pytać, niż odpowiadać zwłaszcza gdy kto jak autorka „Kasi i Marynki" nie będzie zadawalniana wytartemi komentarzami, któremi od wieków odpowiada się na pytania pokoleń, gdy te rzucają je z jękiem bólu, z krwawym wysiłkiem rozpaczy.

Odpowiedzi nie znalazła Gabryela ani w otaczającym świecie, ani w tradycyjnej wierze, ani też zdołała jej wysnuć sama z siebie i to tłomaczy całą jej literacką działalność, wszystkie niedobory jej utworów i dziwny urok prawdy jaki je przenika.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Godzien naśladowania fakt podaje korespondent „Gazety Kieleckiej".

„W Lubelskiem, w dobrach hrabiego Stanisława Zamoyskiego w Podzamczu, w każdą niedzielę urządzane są odczyty dla ludu wiejskiego i czeladzi dworskiej, i całe popołudnie upływa na wspólnem czytaniu, opowiadaniu, zabawie i gawędce. Zajmują się tem oboje hr. Zamoyscy, z pomocą synów i córek.

Lud ochoczo garnie się do nauki. Schodzą się starzy i młodzi z największem zajęciem słuchając czytania, po skończeniu którego, na dziedzińcu zamkowym wszyscy bawią się w piłkę i różne gry. Jeśli do hr. przyjedzie kto z gości, gospodarz prowadzi przybyłych na dziedziniec do miłych swoich niedzielnych gości i nieraz sam podziela ich zabawy, grywając z nimi w palanta.

Łatwo pojąć jak silnie to wpływa na uobyczajenie ludu, rozprasza ciemnotę, rozwijając bujnie moralne pojęcia na tej tak długo odłogiem leżącej roli. To też we wszystkich chatach panuje dobrobyt, a miłość i wdzięczność we wszystkich sercach. Lud pokochał szczerze nietylko oboje hrabstwo i ich dzieci, ale całą ich dostojną rodzinę; gdy ktoś z niej przybywa, starcy podnoszą ku niemu błogosławiące dłonie, a dziatki wesoło naprzeciw wybiegają. Poczciwy to i wdzięczny ten nasz lud polski; tylko szczerze i serdecznie zbliżyć się ku niemu, a szczerem też odpłaci się uczuciem. Dzięki niebu, już coraz częściej pojawiają się gwiazdki rozpraszające dotychczasowe ciemności; może da Bóg coraz więcej podobnych faktów podawać będziem mogli, a uczynimy to z największą radością, bo nie ulega zaprzeczeniu, że ujęcie kierunku oświaty ludowej jest jednym z najważniejszych obowiązków obywateli, że przez taki stosunek nawiąże się znowu zerwana między nami struna. A jakże wiele mogłyby zrobić tu kobiety! jakie to rozległe i piękne działalności pole!... Oto szkic do obrazu.

„Właścicielka wsi przygarnia do siebie drobną dziatwę wioskową, urządza rodzaj ochronki, starając się dokonać tego jak najmniejszym kosztem. Przy dobrej woli znajdzie się jaka pusta izba, mały zacieniony kawałek ogrodu i biedna jaka nie zdolna już do pracy staruszka. Pod jej opieką, przy pomocy starszych dziewcząt, dziatwa bawićby się mogła, i żadne nie uległoby kalectwu, nie utopiłoby się ani oparzyło, a matki, spokojne o dzieci, mogłyby pójść na zarobek. Zachęcamy do tego panie pojmującym i pragnącym spełnić wielkie ciążące na nich obowiązki. Niedarmo powiedziano: „chcieć to módz", chciejcie tylko szanowne czytelniczki, a wiele, wiele zrobić możecie. Opiekując się dziećmi, wejdziecie w stosunki z matkami, z rodziną tych malców, pozyskacie ich ufność, zdobędziecie ich serca... Powie ktoś może, iż na to brak czasu i funduszu — jednego i drugiego potrzeba tak mało; jedną tylko godzinę z tylu zmarnowanych dziennie, tren nieco krótszy, trochę mniej kokard i koronek przy sukni, a znajdzie się fundusz na niejedno dobro, na niejeden cel zacny i święty... Umieją znaleźć czas hr. Z., ale jest też to rodzina znana z dawien dawna z przywiązania do kraju i gorliwości o jego dobro, a członkowie jej — z nader małym wyjątkiem — nie należą do nieobecnych.

+ Coraz zwiększająca się liczba samobójstw, szczególniej w Niemczech, większą też niż kiedykolwiek zwraca na siebie uwagę specyalistów, pragnących zbadać powody tłomaczące owo przerażające zjawisko. Daty statystyczne dowodzą, że mania samobójstw stała się nietylko objawem chronicznym obecnego stulecia, ale zwłaszcza w wielkich miastach, z roku na rok coraz więcej przerażające przybiera rozmiary. Dr. Masaryk w dziełku swojem p. n. „Samobójstwo jako socyalne zjawisko", oraz znakomity statysta, Aleksander Oettinger usiłują dowieść, że wzmagająca się liczba samobójstw jest dowodem odrębnej choroby naszej cywilizacyi. Z dat przytoczonych przez Oettingera pokazuje się, że choroba ta rozpowszechniona przeważnie w całych Niemczech, najstraszniej grasuje w Saksonii a szczególniej w Lipsku. Największa liczba samobójstw przypada w porze wiosennej i w lecie, a zwłaszcza w miesiącach maju, czerwcu i lipcu; samobójstwa spełniane bywają po większej części w godzinach porannych, od 6 do 8-ej. Oettinger wykazuje, że tam gdzie popychają do niego szlachetniejsze motywa, jak nieszczęśliwa miłość, wstyd, żal i t. p., samobójcy odbierają sobie życie za pomocą szlachetniejszych także środków, np. broni palnej lub trucizny; pijaństwo nader ważną odgrywa rolę w statystyce samobójstw, a udowodnionem jest, że nałogowi pijacy zawsze prawie pozbawiają się życia przez powieszenie. Wiele zapewnie możnaby przytoczyć powodów owego przerażającego zjawiska, ale niezaprzeczenie najgłówniejszemi są: coraz więcej szerząca się wstrętna bezwyznaniowość, próżniactwo, życie nad stan i cześć złotego cielca — jedynym zaś środkiem: prawdziwa religia, podniesienie tak dziś zaniedbanej duchowej strony człowieka i wpojenie przekonania, że ludzkość jest łańcuchem którego ogniwa stanowią jednostki, a usuwanie się ich dowolne, zawsze szkodę przynosi całości.

+ *Les mauvaises lectures, la presse et la litterature corruptrice.* (Złe książki, prassa peryodyczna i literatura demoralizująca.) Pod tym tytułem wyszła niewielka książeczka napisana przez J. E. ks. Turinaz, biskupa Tarentaise. Dostojny autor rozpatruje w dziełku swojem jedną z najgroźniejszych ran nowoczesnego społeczeństwa. Podkopywanie wiary i powagi religijnej, denerwowanie dusz, niszczenie życia moralnego — oto klęski straszliwe; jakie sprowadza czytanie złych książek. Unikając wszystkiego co wiąże się z polityką, autor wykazuje wszakże, iż nie można nazwać rozumną wolnością takiego stanu rzeczy, w którym literatura demoralizująca rozwija się bezkarnie, i wzywa wszystkich uczciwych ludzi, aby pomagali Kościołowi w jego walce przeciwko niedowiarstwu i zepsuciu, w walce, w której broni on czystości serc i umysłów, godności ogniska domowego, słowem tego wszystkiego co stanowi wielkość i trwałą potęgę narodów. Książka ta wydana nakładem stowarzyszenia bibliograficz. kosztuje tylko 40 cent., u nas więc najwięcej 40 kop.; mała co do rozmiaru

ale nader bogata treścią,—zalecamy ją gorąco Czytelniczkom naszym.

✝ *Howard Association* podaje obliczenia statystyczne, które przekonywają, że corocznie zmniejsza się liczba wykonywanych wyroków śmierci. I tak od 1870 r. do 1880 r. włącznie w Austryi wydano 608 wyroków śmierci, ale wykonano ich tylko 16. We Francyi, z 198 skazanych stracono 93; w Hiszpanii z 291 — 126; w Szwecyi i Norwegii z 46 — 6; w Danii 94—1; w Bawaryi z 249—7; a w północnych Niemczech z 484 tylko jeden.

W tymże czasie w Stanach Zjednoczonych skazano na śmierć 2500 osób, stracono 200, dodać jednak trzeba że w Ameryce istnieje sąd doraźny. W Anglii, w ciągu lat 29 t. j. od 1850 do 1879 skazano na śmierć 665, stracono 372. W Irlandyi w przeciągu lat 20 skazano na śmierć 66, stracono 36; a w takimże czasie w Szkocyi wydano wyroków 40, wykonano 15. W Hollandyi zniesiono karę śmierci w 1870 r., przez te lat jedenaście spełniono tam 17 morderstw, to jest o dwa mniej niż w poprzedzających jedenastu latach, kiedy jeszcze wydawano wyroki skazujące na śmierć.

Faktycznie kara śmierci nie istnieje także w Portugalii, Rumuni i Belgii, oraz w kilku Stanach w Ameryce. Może już niedaleką jest chwila, kiedy kara śmierci wykreśloną zostanie z prawodastw wszystkich krajów ucywilizowanych.

✝ Według paryzkiego „Figara" dwanaście kobiet otrzymało tamże dyplomy doktorskie. Do najwięcej znanych zaliczają: Amerykankę, p. Putman; Włozkę, p. Rosetti, i Rossyankę, p. Gonczarow. W liczbie dwunastu kobiet-doktorów znajduje się tylko trzy Paryżanki, z których jedna, Magdalena Brès, prowadzi praktykę, dwie inne odstręczyło od niej współzawodnictwo doktorów mężczyzn. Pani Brès była już wdową i matką dwojga dzieci, gdy zaczęła uczęszczać na kursa medycyny. Dziś jest „oficerem Akademii" i lekarzem teatru Chatelet. Obecnie na paryzki fakultet medycyny uczęszczają: trzy Amerykanki, 18 Angielek, 11 Francuzek, 10 Rossyanek, razem 42 studentek. Kompletny kurs medycyny trwa 7 do 8 lat i wymaga pewnego funduszu na utrzymanie przez czas nauki, co zapewnie wpływa na stosunkowo małą liczbę studentek.

✝ Dnia 15 z. m. spuszczono na morze z warsztatów okrętowych w Chatham statek wojenny zupełnie nowej kokstrukcyi, nazwany „Polifemem", niepodobny zupełnie do zwykłych okrętów. Jest to jakby rodzaj olbrzymiej tratwy ważącej kilka tysięcy tonn, oryginalnej konstrukcyi, a przeznaczeniem jej druzgotanie okrętów nieprzyjacielskich, lub podkładanie pod nie min. Statek ten opatrzony jest w ogromne stalowe szydło do przebijania okrętowych tułowiów, jakoteż w osobne komory torpedowe. Prawie cały kryje się pod powierzchnią wody, co dozwala mu działać skrycie. Machiny, kajuty, słowem, całe urządzenie wewnętrzne znajduje się pod wodą; na powierzchnię jej wystaje tylko opancerzona wieża z działem do walki odwodowej, i dlatego też ta część statku ma podrzędne tylko znaczenie, i gdyby nawet została zgruchotaną przez pociski nieprzyjacielskie, statek nic na tem nie ucierpi i będzie mógł dalej działać zaczepnie.

✝ *N. Fr. Presse* podaje wiadomość o przerażającym wynalazku, jaki zrobić mieli dwaj chemicy wiedeńscy, a który nazwali „poskramiaczem" (Bändiger). Jest to płyn jakiś którego dość parę kropli bryzgnąć na ubranie aby uczynić każdego; choćby najsilniejszego człowieka niezdolnym do jakiejkolwiek obrony a nawet ruchu.

Wynalazcy w ten sposób tłomaczą działanie niezwyczajne swego „poskramiacza" iż płyn ten ulatniając się nadzwyczaj szybko, ogarnia całą osobę wyziewem oddziaływającym nader silnie na organa wzroku i oddychania i tym sposobem wywołuje zupełne obezwładnienie. Zapewniają jednak iż nie szkodzi to wcale zdrowiu „poskromionego" a obok tego obmyślili skuteczne antidotum przeciw skutkom „poskramiacza".

Próba miała się odbyć w redakcyi jednego z dzienników wiedeńskich, najpierw na jednym z wynalazców a następnie na jakimś bardzo silnym i zdrowym robotniku z drukarni. Z odległości kilku kroków wynalazca bryzgnął mu na piersi kilka kropli płynu, i w tejże chwili człowiek ten zachwiał się, pobladł, robiąc piersiami mocno chwytając powietrze, a po kilkunastu sekundach nastąpiły objawy zupełnego odurzenia. Oczy zamknął zaraz w pierwszej chwili, niemogąc znieść nader przykrego działania wyziewów płynu. Próbę przerwano po upływie pięciu minut aby nie przedłużać męczarni „poskromionego" a przerwano przez użycie antidotum, które także okazało się nadzwyczaj skutecznem.

Prędko przyszedłszy do siebie, robotnik opowiadał że odurzony wyziewem płynu, wydającego woń ammoniaku, odrazu czuł się obezwładnionym; nie mógł oddychać ani nosem ani ustami i doznawał uczucia jakby niewidzialna jakaś siła ściskała go za gardło. Zimny pot wystąpił mu na czoło, a nareszcie uczuł że nie zdoła utrzymać się na nogach; byłby upadł niezawodnie gdyby nie przerwano doświadczenia. Oprzytomniony opowiadał: iż zdało mu się że ostatnia życia jego wybiła godzina, że brakło mu powietrza w piersiach, a oczu otworzyć nie mógł pomimo największych wysileń. Następnie przez cały dzień robotnik miał się zupełnie dobrze, nie odczuwając żadnych skutków doświadczenia. O sile odurzającego płynu świadczy i ta okoliczność, że zamieniając się z kropli puszczonej np. na suknią, dymi się formalnie, jednakże po odparowaniu najmniejszego po sobie śladu nie pozostawia na materyi.

Dziwi nas że pisząc o tem, dzienniki nie podają nazwiska wynalazców, co dozwala wnosić że może fakt ten cały jest „kaczką dziennikarską"—czego może i pragnęćby należało, bo jakichże to strasznych zbrodni dokonywaćby można za pomocą takiego prawdziwie piekielnego wynalazku.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z vêtement. Spódnica biała kaszmirowa jest cała zaplisowana; vêtement z przodu podpięte krótko nakształt stanika, z tyłu zapinane i dopełnione brytem spadającym do dołu sukni. Przybranie stanowi szeroka koronka wywodzona nitką złotą i kolorowym jedwabiem i kokardy z wstążki atłasowej w dwóch kolorach.

Ubranie spacerowe z materyi surah. Vêtement szeroko otwarte z przodu, ma oryginalne rękawy, przemarszczane drobno w środku a w górze i u dołu dopełnione bufami. Podłużny wykrój szyi ogarnirowany żółtawą koronką i otoczony przemarszczaniem w formie chusteczki. Przód sukni fałdowany poprzecznie, zakończony przemarszczeniem i plisowanemi falbanami. Kapelusz przybrany materyą i koronką tak jak przy sukni.

Ubranie dla małej dziewczynki. Sukieneczka princesse uszyta z pasków wstążki i wszywek koronkowych; wykrój szyi i kruciutkie rękawki suto ogarnirowane koronką. Kokardy z wstążki różowej.

Odpowiedzi od Redakcyi.

T. S. Z nadesłanych wierszy, tylko ostatni tłomaczony ma wartość prawdziwie poetyczną. Pierwszy jest rymowana prozą z treścią nieprzedstawiającą nowości: osnowa legendy nie zasługuje na jej ogłoszenie. Wierszowanie jednak jest dobre, a przetłomaczony wierszyk daje pochlebną próbkę o zdolności przelewania myśli z obcej mowy na rodzinną.

Pani: Palma. W interesie powierzonym, prośba i wstawianie się żadnego nie mają znaczenia. Rzecz sama i wartość jej w dobrem wykonaniu jedyną są protekcyą i to najskuteczniejszą. Czego więc nie zrobił redaktor Tygodnika, tego nie zrobi żaden inny przewodnik pisma, powodowany temi samemi co tamten zasadami: inne zaś trudno przypuszczać.

Panu K. L. w Radziwiłłowie. Sonet pomieszczono w formie wskazanej. Listy odebraliśmy ale nadesłane w nich wiersze nie odpowiadają niezbędnym warunkom.

Autorowi wierszyków p. t. „Wierzę i pragnę kochać". Pierwszą zaletą podobnych utworów jest lekkość i swoboda w całym układzie i zręczne przedstawienie treści. W nadesłanych wierszykach brak tych niezbędnych przymiotów. Na list pierwszy odpowiedź pocztą przesłaną została, ale że adres niepewny, bo dwie są miejscowości jednej nazwy, być więc może, że odpis nie dojdzie swego przeznaczenia.

Pani M. T. ze wsi Łaby. Rubli trzy nadesłane od I. D. dano ubogiemu paralitykowi niemającemu żadnych funduszów utrzymania.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 28 Іюня 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 29 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg.)

W kilka minut później pani de Sarrans skinęła na syna i oddaliła się z nim trochę od reszty towarzystwa.

— Nie będziesz już mógł powiedzieć, mój drogi Gastonie że nie jestem dobrą matką, odezwała się z wesołym uśmiechem. Przynoszę ci wiadomość niespodziewaną i... jak mi się zdaje, pożądaną... Nasza śliczna zaklęta księżniczka nie jest tak ubogą jak się zdawało. Ta poczciwa pani Babillon dostarczyła mi, co do tego, dokładne wiadomości.

— Czy naprawdę, kochana mateczko? zawołał Gaston z wyrazem żywej radości.

— Ale tak, tak. Pomówimy o tem później.

Spojrzała z uśmiechem na rozpromienionego tą wiadomością syna i pośpieszyła do swych gości.

Zaproszeni spacerowali po ogrodzie, bawili się w gry, a następnie zeszli się w obszernej altanie, nad którą konary drzew tworzyły sklepienie, i gdzie czekał na nich stół bogato i gustownie zastawiony. Niekiedy jakiś niespodziewany wypadek wywoływał wesoły uśmiech na wszystkie usta: to liść unoszony wiatrem wpadał w półmisek kremu, to korek od szampańskiego wina, wypadający z hukiem, płoszył całe stada ptaków ukrywających się na drzewach.

Zaraz po śniadaniu uprzątnięto stoły, muzyka się odezwała i pary stanęły do kontradansa. Gwidon de Plouernel tańczył z Meliną; Gaston de Sarrans już zawczasu zamówił Renatę, obawiając się aby go nie uprzedził ktoś inny. Pani de Plouernel patrzyła na tańczące wnuki z przyjemnością i głębokiem wzruszeniem. Wszakże młodość nadaje im prawo do jakiejś rozrywki, zabawy; wszakże to wiek nadziei, wesołości... Niestety! gdyby to oczy mogły zawsze błyszczéć weselem, usta uśmiechać się swobodnie... gdyby niebo zawsze było błękitne i spokojne!... Ale po co przewidywać smutną przyszłość, niech muzyka gra skocznie, niechaj młodzi tańczą, niech wonny majowy wietrzyk chłodzi im czoła i niech długo jeszcze najlżejsza chmurka smutku nie zaćmi blasku ich oczu.

Ale i słońce miewa swe kaprysy, a pogoda jest równie zmienną jak wszystko na tym świecie. Gdy tańczono tak ochoczo pod drzewami, wiatr od morza napędzał sine chmury i nagle zaczął padać deszcz tak rzęsisty że wielkie i gęste jego krople przeciskały się przez gałęzie; to wywołało popłoch, śmiechy, zamieszanie, panie unosiły spiesznie sukienki, zaczęły uciekać do pałacyku, a drobne ich nóżki nie zawsze zdołały omijać kałuże. Jednak w mgnieniu oka wszyscy goście przybyli dość szczęśliwie do salonu, na nieszczęście, zbyt małego, aby można było pomyśléć o tańcu, zamierzano więc zastąpić taniec muzyką. Jedna z pań usiadła do fortepianu i zaczęła grać skoczną polkę, która jednak prawie zasmuciła obecnych, przypominając im tak nagle przerwaną zabawę pod lipami. Następnie pani de Sarrans, której Melina szepnęła coś do ucha, zbliżyła się do Renaty z miłym uśmiechem.

— Czy panna de Plouernel, ktora, jak mi mówiono, jest znakomitą fortepianistką, nie zechce nam także zagrać?

Renata zarumieniona wahała się niepewna co ma odpowiedziéć, gdy margrabina odezwała się patrząc na nią z wyrazem dumy i czułości:

— Zagraj, moje dziecię. Czegóż mogłabyś się obawiać?

Renata zbliżyła się do fortepianu z pełną powabu nieśmiałością, i wkrótce z pod jej białych paluszków, zaledwie dotykających klawiszy, popłynęły pierwsze dźwięki *Ronda* Mozarta, tak ciche i harmonijne jakby je wyszeptał jakiś duch opiekuńczy unoszący się nad rodzinnem ogniskiem. Obecnie zapomnieli o burzy, tańcu i deszczu, przysłuchując się cudnej melodyi wychodzącej z pod palcy Renaty, która posiadała styl i duszę prawdziwego artysty.

Renata domyślała się tego że grą swoją oczarowała wszystkich, ale nie przyzwyczajona do hołdów i pochwał, czuła się tem więcej zmieszaną niż ucieszoną. Widziała, nie podnosząc prawie oczu, że Alfred Mercier, siedzący po drugiej stronie fortepianu, wpatrywał się w nią swemi ciemnemi i pełnemi blasku oczyma; że tuż przy niej stał Gaston de Sarrans, milczący, zasłuchany, i to ją mieszało, niepokoiło. Co jej też powiedzą, skoro grać przestanie? Obawiała się prawie wstać od fortepianu dla tego zaledwie przebrzmiały w powietrzu ostatnie dźwięki *ronda*, palce je uderzyły znów w klawisze. Ale teraz odezwał się hymn przepyszny, wzniosły, potężny, wspaniały... był to: *Marsz z Proroka*,

Renata wstała blada, zmieszana, widząc, że Alfred stoi ciągle przed nią nieruchomy, jak gdyby wywołane przez nią melodyjne dźwięki pieściły jeszcze słuch jego; słysząc że Gaston de Sarrans zawołał wzruszonym głosem:

— Jakież to wzniosłe, zachwycające!... Odwołując się do uprzejmości panny de Plouernel, nie spodziewaliśmy się że usłyszymy prawdziwą artystkę!

Renata mogła tylko uśmiechem podziękować za te pełne zapału pochwały młodego Paryżanina i za pochlebne słówka dotalujące do niej ze wszystkich stron, gdyż Melina, zarumieniona z radości, zarzuciła jej ręce na szyję i obsypując ją pocałunkami, mówiła do pani de Sarrans:

— Czy nie miałam słuszności zapewniając że Renata gra jak anioł?... Ale śpiewa jeszcze piękniej, głos jej tak czysty, dźwięczny i tak wyrobiony!

Otoczono znów pannę de Plouernel prosząc aby coś zaśpiewała, ale Renata odmówiła uprzejmie lecz stanowczo: czuła się zbyt wzruszoną aby mogła śpiewać. Nie upajały ją składane jej hołdy, jakkolwiek nie była do nich przyzwyczajoną, ale budziły w niej jakieś radośne uczucie, uczucie jakiego doznajemy w wiosennych latach życia, gdy świat wita nas z uśmiechem, z wyciągniętemi rękami, i gdy wszystko zdaje się obiecywać nam przyszłość błogą, szczęśliwą. Zresztą Renata czuła się zupełnie zadowoloną z tego co jej już przyniósł ten dzień najpiękniejszy w jej życiu; nie chciała zaćmiewać swych towarzyszek i okazywać swej wyższości nad niemi, wolała bawić się wraz z nimi wesoło i swobodnie.

Piękny to był dzień naprawdę, gdyż burza ucieszyła się wkrótce, słońce ukazało się znowu, i po herbacie wszyscy przeszli napowrót do ogrodu. Pozapalano latarnie, muzyka się odezwała i długo jeszcze tańczono pod lipami. Dopiero chłodny wietrzyk nocny przypomniał że czas wracać do domu; młode tanecznice, otulone białemi zarzutkami i szalami, zaczęły wsiadać do powozu, wesoła wrzawa uciszała się stopniowo, a w końcu słychać już tylko było szum wiatru przeciągającego nad wodą, kołyszącego na stepie janowce i wrzosy, i przygłuszony turkot oddalających się powozów.

W jednym z tych powozów siedziała obok babki wzruszona i uśmiechnięta Renata, a naprzeciwko niej Gwidon wesoły, rozpromieniony. Zawsze to miło słyszéć pochwały, odbierać hołdy, a Renata żyjąca dotąd zdala od świata, nie była do nich przyzwyczajona. Czy tylko mówiono prawdę? Czyby posiadała rzeczywiście dar pociągania serc ku sobie? O! musiały to być szczere pochwały, skoro wypowiadano je tak wzruszonym głosem!

Gdy Renata marzyła tak słodko wracając do Goëllo, pani de Sarrans powtarzała synowi wiadomości udzielone jej przez panią Babillon, a następnie dodała z wyrazem żywego zadowolnienia:

— Jeźli to wszystko jest prawdą, Gastonie, to trzeba przyznać że zrobiliśmy nader szczęśliwe odkrycie... Panienka młoda, pochodząca z dawnej arystokratycznej rodziny, piękna jak majowy poranek, posiadająca tyle powabu i tak szlachetne ułożenie!... przy tem jeszcze tak utalentowana!... Powiadasz że ci się podobała, że jest zachwycająca... Sądzę jednak że lepiej zaczekać trochę, że nie wypada śpieszyć się tak bardzo. Jestem jednak gotowa udzielić ci macierzyńskie błogosławieństwo, jeźli... jeźli ta ciotka, która ją tak kocha, da jej choćby tylko sto tysięcy franków posagu.

— Sto tysięcy franków! Może to zbyt wiele, wątpię aby je dać mogła, odezwał się Gaston. Czy nie moglibyśmy poprzestać na ośmdziesięciu... a choćby nawet na siedmdziesięciu, droga moja mateczko?

— Ho! ho, byłby to bardzo mały posag.... Jednak, mój drogi Gastonie, nie ma ustępstwa którego nie zrobiłabym dla sprawienia ci przyjemności, dodała, dając mu do pocałowania małą i wypieszczoną rączkę.

Gdy tak rozmawiano w la Tremblade, Renata zasypiała w Goëllo z uśmiechem na ustach, spokojna, szczęśliwa. Nie wiedziała jeszcze czem są w rzeczywistości pochwały i oznaki uwielbienia w eleganckim świecie; nie wiedziała że tam mało cenią najszlachetniejsze przymioty duszy i serca jeżeli nie towarzyszą im pieniądze; nie domyślała się nawet że można targować się tam gdzie idzie o szczęście całego życia!

VIII.

Na morzu.

Nie będziemy opisywać szczegółowo wesołych spacerów, przejażdżek konnych, śniadań i podwieczorków na murawie, w których następnie brali udział mieszkańcy Goëllo, la Tremblade i la Rouerie, pięknej posiadłości, którą były notaryusz nabył trzy lata temu, i w której mieszkał z córką i synem. Powiemy tylko, że pewnego dnia, gdy całe towarzystwo spacerowało po lesie w pobliżu Kergoat, pani de Sarrans zadziwiła się bardzo widząc że czoło Gwidona zasępiło się nagle, gdy jednocześnie

z ust Renaty uleciało ciężkie westchnienie, skoro na wzgórzu za lasem ukazał im się jakiś wielki starożytny zamek. Usłużna pani Babillon, która nie pomijała żadnej sposobności zbliżenia się do uprzejmej Paryżanki, wytłómaczyła jej tę zagadkę, opowiadając jej jakim sposobem margrabia Raul stracił majątek, oraz że notaryusz Mercier kupując Plouernel zobowiązał się że pozostawi zamek nienaruszony i niezamieszkany, a pomimo to nie szczędzi na potrzebne reperacye, aby Gwido de Plouernel zastał go w dobrym stanie, wrazie gdyby mógł odkupić go kiedyś.

— Ależ to cóś dziwnego, niezwyczajnego! zawołała pani de Sarrans, klaszcząc w ręce. I prawdopodobnie ta nieoceniona ciocia poświęci się dla nich... Kto wie czy na uczczenie dnia pełnoletności nie ofiaruje im tego zamku?... Ależ to cóś prawdziwie romantycznego, przechodzącego wszystko coby można wymarzyć. O Gastonie!... Gastonie! Nie wołam cię, mój synu, dodała widząc że chce zbliżyć się do niej; opowiem ci to później. Zbliż się do panny de Plouernel; czy nie widzisz że nie może dosięgnąć do gałązki jemioły rosnącej na konarach tego dębu?

Biedna Renata! zdawało się że ponieważ posiadała kiedyś starożytny zamek i ponieważ pozostawała jeszcze nadzieja że mogłaby go odzyskać kiedyś, stała się milszą i droższą tym nowym przyjaciołom, przyjmującym ją tak mile, z taką uprzedzającą grzecznością. Ona królowała w ich salonie, ona obmyślała przechadzki, tak uprzejmie, tak chętnie stosowano się do jej upodobań, uprzedzano jej życzenia. Dla niej także zatrzymała się pewnego dnia, w małej zatoce niedaleko od Goëllo, piękna łódź przystrojona flagami, którą sterował jeden z młodych rybaków. Gaston de Sarrans, Alfred i Melina przybyli jednocześnie do Goëllo, prosząc aby wraz z Gwidonem wzięła udział w małej wycieczce na morze.

Pani de Sarrans pozostała w domu, trzeba więc było aby jakaś osoba starsza przyłączyła się do towarzystwa. Ma się rozumieć że los padł na ciotkę Sylwię, która też niedługo opierała się prośbom, okryła się swym waterprof'em, włożyła na głowę kapelusz z wielkiem rondem i wyszła z domu z Renatą i Meliną, ubranemi w białe suknie i marynarskie kapelusiki z białemi piórkami. Przed niemi szli trzej młodzi panowie niosący wiosła i sieci.

Za każdym prawie krokiem odzywały się okrzyki zachwycenia; morze takie srebrzyste a niebo tak czysto błękitne; słońce błyszczące tak wesoło pokrywa się niekiedy leciuchną mgłą, a wtenczas cały ocean przystraja się w świetną różową barwę. Srebrzyste fale, muskające łódkę, zdają się przemawiać do niej:

— Nie obawiaj się, chodź z nami, będziemy cię niosły szybko, ostrożnie.

I łódka posuwa się lekko, kołysze, pochyla się i podnosi, a białe jej żagle odbijają się w przezroczu wody. Towarzystwo zebrane w łodzi, rozmawia wesoło, śmieje się, zarzuca sieci i wyciąga je próżne, przy czem krople wody spadają na twarze i włosy, i błyszczą jak dyamenty, dopóki ich wiatr nie zwieje lub słońce nie osuszy. Nareszcie Gaston udaje się do Renaty z prośbą aby zaśpiewała.

Każdy wtenczas domaga się jakiejś ulubionej sobie aryi, ale Renata zwraca uwagę że szum morza i wiatru nie byłby odpowiednim akompaniamentem do jakiejś wielkiej i uczonej muzyki, że jednak, skoro sobie tego życzą, zaśpiewa jaką bretańską piosnkę, naprzykład: Skargę młodego żołnierza opuszczającego rodzinne progi.

Trudno było wybrać lepiej; nóta piosenki prosta, smętna, trochę dzika, nadawała się wybornie do silnego i czystego głosu panny de Plouernel, zwłaszcza przy akompaniamencie orkiestry to szumiącej, to huczącej koło spacerowej łodzi. Renata śpiewała ją z czuciem, z przejęciem, i nie umiałaby powiedzieć czemu chmurka smutku osiadła na jej czole. Zdawało się że i przed nią otwiera się jakiś świat nowy, nieznany, olśniewający, rozkoszny; a jednocześnie jakiś głos tajemniczy zdawał się szeptać do jej ucha że to tylkoułudne zjawisko, które zniknie za chwilę. Wtenczas nasuwa się jej na myśl wspomnienie cichego szczęścia w samotnym domku na stepie, i usiłując wyzwolić się od uroczego widzenia, śpiewa z westchnieniem, kończąc piosenkę:

Dla mnie milsze moje wrzosy...

Gaston pierwszy podziękował Renacie unosząc się tak nad wyborem piosenki jak nad jej wykonaniem. Gwido, który już nie raz słyszał siostrę śpiewającą tę piosneczkę, powiedział tylko:

— Prawdopodobnie ów młody żołnierz nie śpiewał tak ładnie jak moja droga Renata.

Alfred siedział przy rudlu smutny i milczący wpatrując się w przestrzeń zamyślonym wzrokiem.

— Co ci jest, braciszku? zapytała pochylając się ku niemu Melina.

— Mnie?... Nic... Zamyśliłem się... Przyszło mi na myśl że ta piosenka może być kiedyś moją piosenką... Wiesz że miałem już zamiar wstąpić do wojska i że jedynie przełożenia ojca powstrzymały mnie od tego.

— O! mój drogi Alfredzie, byłoby to prawdziwem okrucieństwem z twej strony! odpowiedziała Melina na te słowa brata, wyrzeczone przytłumionym i drżącym głosem. Czy mógłbyś nas opuścić dobrowolnie, czy mógłbyś opuścić rodzinne twoje okolice, w których prócz nas, pozostawiłbyś tylu przyjaciół?

— A! przyjaciół! przerwał jej z ironicznym uśmiechem. Przyjaźń jest równie zwodniczą, zmienną i nietrwałą jak nadzieja, życie... jak to morze, dodał wskazując siostrze szare teraz fale, które zaczynały się pienić i podnosić w górę.

Wiatr chłodny zerwał się nagle, czarne chmury zbliżały się szybko, a wszyscy z taką uwagą słuchali śpiewu Renaty że nikt tego nie spostrzegł prócz Andrzeja, młodego rybaka, który spoglądał co chwila niespokojnie w niebo i wstrząsał niecierpliwie głową, ale nie śmiał przerwać piosenki. Teraz dopiero, gdy usłyszano słowa Alfreda, całe towarzystwo spojrzało niespokojnie na zachmurzone niebo, a widząc że burza nadciąga, uznało konieczność śpiesznego powrotu do brzegu.

— Biada tylko, że jesteśmy bardzo daleko od brzegu, odpowiedział Andrzej. Ten przeklęty wiatr, wiejący z północy ku południowi, popychał nas na pełne morze; teraz znów wicher dmie od zachodu; musimy się przygotować na to że nas czeka niemiła przeprawa. Byleby tylko wicher nie wepchnął nas na *Kocią-Głowę*, skoro będziemy bliżej lądu!

Ciotka Sylwia i Melina pobladły, Renata, Gwidon i Alfred spojrzeli na siebie niespokojnie; wiedzieli, że Kocia-Głowa jest to skała duża, okrągła, gładka, zakończona dwoma granitowemi kolcami, które rybacy nazywali uszami, i wznosząca się o ćwierć mili od brzegu, wśród ostrych i nizkich skał, które podczas burzy znikały całkiem pod wodą, a biada łodzi którą fale uniosłyby w tę stronę.

Wiatr wzmagał się ciągle, rozproszone chmury zaczęły się łączyć z sobą, a powierzchnia morza przybierała coraz ciemniejszą, prawie czarną barwę.

Gaston był może najspokojniejszym z całego towarzystwa; był pierwszy raz w tej okolicy i nie rozumiał jak wielkie groziło im niebezpieczeństwo. Jednak usłyszawszy słowa rybaka zbliżył się do niego i rzekł śmiało:

— Uspokój się, mój przyjacielu, jest nas tu trzech jeszcze prócz ciebie, i możesz liczyć na naszą pomoc. Powiedz tylko co mamy czynić.

Andrzej nie zdawał się uspokojonym tą obietnicą pomocy, wskazał jednak Gastonowi co ma czynić, Alfred zaś i Gwidon, którzy już nie raz brali udział w wycieczkach na morze, umieli dobrze robić wiosłem i kierować łodzią.

Ciotka Sylwia posadziła obok siebie Renatę i Melinę, i otuliła je szalami, aby zabezpieczyć o ile można od zimnego wiatru i piany, którą obryzgiwały je coraz wyżej piętrzące się bałwany, uderzające o boki łodzi.

Twarz biednej ciotki Sylwii była bardzo blada i poważna w tej chwili, i potrzebowała użyć całej mocy, jaką posiadała, nad sobą, aby nie zdradzić niepokoju w obec wzrastającego ciągle niebezpieczeństwa. Cóż byłaby za to dała gdyby to niebezpieczeństwo mogło jej tylko zagrażać! W takim razie, sama jedna na świecie, nie przywiązująca tak wielkiej ceny do życia, byłaby spokojnie zdała się na wolę Bożą. Ale widzieć że śmierć grozi nie tylko jej ale tylu jeszcze młodym i pełnym nadziei istotom, a nadewszystko tej drogiej Renacie, to przechodziło prawie jej siły, i przejmowało jej serce straszną boleścią i obawą. O! gdyby morze chciało poprzestać na jednej ofiarze, gdyby ją tylko zabrało a pozwoliło innym przybić szczęśliwie do brzegu! Ale trudno było spodziewać się tego: prawdopodobnie albo wszyscy zginą, albo wszyscy zostaną ocaleni razem.

Mężczyzni tymczasem uwijają się koło żagla i steru. Wiatr wieje im w oczy i wyrwa z rąk porwane sznury: nagle usłyszeli złowrogie trzeszczenie: to wicher rozszarpał żagiel na kawałki. Jednak ster i wiosła pozostały jeszcze, i ośm silnych rąk może doprowadzić łódź do brzegu! Ale wątły statek to się cofa, to chwieje, raz podnosi się w górę na grzbietach bałwanów, drugi raz zsuwa się z nich nagle jakby spadał w otchłań. Gdyby siedzące w niej kobiety nie były tak odważne, tak zgadzające się z wolą nieba, może łódź byłaby już zatonęła; ale one siedzą nieruchome, prawie spokojne, nie wyjmując nawet Meliny, chociaż biedna bardzo się boi, a twarzyczka jej pobladła strasznie, i ściska nerwowo rękę ciotki Sylwii za każdym razem gdy łódź silniej się pochyli lub zakołysze.

Jednak, dzięki wspólnym usiłowaniom, statek dość szczęśliwie zbliża się do brzegu, i teraz niedaleko już od niej sterczy szara i straszna skała zwana Kocią-Głową.

Andrzej przestał wiosłować i odezwał się głosem poważnym i pewnym.

— Teraz zbliża się najniebezpieczniejsza dla nas chwila... Na prawo od Kociej-głowy, pomiędzy skałami ukrywającemi się obecnie pod wodą, jest dość wązkie wprawdzie, ale wolne od nich przejście... Wszak pan je zna, panie Gwidonie?... Otóż tą właśnie drogą musimy przepłynąć. Daję słowo marynarza i Bretańczyka że dołożę wszelkich usiłowań aby nam się powiodło szczęśliwie, ale nie mogę ręczyć że tak będzie z pewnością... jeden silniejszy podmuch wiatru może nas rzucić na skały! Dla tego też trzeba zawczasu przygotować się na wszelki wypadek.... Jest nas tu czterech: przypuśćmy że łódź się przewróci lub roztrzaska o skałę jak skorupka jaja, w takim razie trzeba aby ci z nas, którzy nie będą odurzeni lub zabici, pomyśleli natychmiast o ratowaniu kobiet... Od skał do lą-

du nie bardzo daleko: kto umie pływać może mieć jeszcze nadzieję ocalenia.

Zaledwie młody rybak skończył swą krótką i energiczną przemowę, Gaston de Sarrans, który już widział bałwany roztrącające się o skały, położył wiosło i zbliżył się do Renaty.

— Zechciej pani przyjąć moją pomoc, jestem pewny że potrafię panią uratować, rzekł wzruszonym głosem. Nie znam wprawdzie tego wybrzeża, ale pływam dobrze i wytrwale; dałem już nie raz tego dowody, i grożące nam niebezpieczeństwo nie pozbawia mnie spokoju.... Nie odrzucaj mej pomocy, panno Renato... Czuję to że mi Bóg dopomoże, gdyż z radością oddałbym... życie dla pani.

Jednocześnie Gwidon usiadł przy Linecie nie mówiąc ani słowa, i ujął w swe dłonie jej drżące rączki. W tej chwili ci *starzy* przyjaciele patrzeli na siebie bez pomieszania i obawy; spokojne, pewne spojrzenie Gwidona zdawało się mówić: Nie lękaj się niczego, wszakże jestem przy tobie! A oczy Meliny, przed chwilą jeszcze wyrażające tyle boleści i przerażenia, teraz były spokojne, przejrzyste, i patrzyły z taką prawie ufnością jak wówczas gdy Gwido składał u stóp jej w Plouernel pierwszą swą zdobycz, wielkie gniazdo krucze. Wszakże mogła zaufać przytomności jego umysłu, jego odwadze i sile; a w chwili niebezpieczeństwa pośpieszył zaraz do niej. Radość i nadzieja wywołały rumieniec na lica Meliny, na ustach ukazał się lekki uśmiech, i nie drżała już z obawy.

Renata podniosła głowę usłyszawszy głos Gastona. Rzuciła w koło oczyma, i zobaczyła drobną rączkę Meliny w dłoni Gwidona; zobaczyła pana de Sarrans pochylającego się ku niej z wyrazem najżywszej troskliwości, ale ona niepokoiła się więcej o kogoś innego niż o siebie.

— Ciotka Sylwia! zawołała zarzucając ręce na szyję panny de la Trémarais, która siedziała na ławce nieruchoma i samotna.

— Bądź spokojna, Renato, wszakże ja tu jestem, odezwał się milczący dotąd Alfred. Jestem pewny że potrafiłbym cię także uchronić od wszelkiego niebezpieczeństwa, i sądzę że nie potrzebowałem uprzedzać cię że możesz liczyć na mnie. Skoro jednak pan de Sarrans ofiaruje ci swe usługi, ponieważ wiem że jesteś odważną, silną i pływasz dobrze, a nakoniec ponieważ jestem przekonany że Gwido będzie się opiekował moją siostrą, możesz z pewnością spuścić się na mnie. Wiesz zapewnie że w całej okolicy trudno byłoby znaleźć kogoś lepiej pływającego, w każdym więc razie ciotce Sylwii nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— Ah! dziękuję ci, Alfredzie, dziękuję! zawołała Renata, podając rękę Alfredowi, który uścisnął ją z wyrazem najżywszej radości.

Tymczasem łódź posuwała się dalej i niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszem. Wszyscy milczeli zamieniając z sobą tylko niespokojne spojrzenia, ile razy dno łodzi zadrżało pod ich nogami, ocierając się o skałę. W koło siebie widzieli piętrzące się i spienione bałwany, ostre szczyty skał ukazywały się niekiedy nad wodą... Łódź przechyliła się, podniosła, zakołysała silnie, i pomknęła dalej.... Andrzej powstał i rzucił czapkę w powietrze. Niebezpieczeństwo minęło: za nimi sterczała czarna i groźna skała; przed nimi ukazywało się piasczyste wybrzeże.

— Zwyciężyliśmy! zawołał radośnie młody rybak.

Radość była może trochę przedwczesną; wprawdzie ominięto skały, ale wiatr i bałwany szalały ciągle. Łódka była już blizko brzegu, kiedy wicher pędzący od lądu przewrócił ją zupełnie, do czego prawdopodobnie i to przyczyniło się wielce, że czując się blizko brzegu, młodzi żeglarze nie kierowali nią tak ostrożnie. Szczęściem że tu nie groziło już tak wielkie niebezpieczeństwo, i młodzi opiekunowie wywiązali się godnie ze swego zadania, wynosząc na brzeg ciotkę Sylwię, Melinę i Renatę. Wszyscy pośpieszyli ogrzać się i posilić w Goëllo, gdzie biedna margrabina przerażona, burzą, czekała na nich modląc się i płacząc. Gaston i Alfred posłali do la Tremblade i la Bouërie uspakajające bileciki i pozostali aż do wieczora w Goëllo. Całe towarzystwo było wesołe, ożywione, gry i muzyka przeplatały rozmowę, i wszyscy bawili się wybornie. Jednak, kiedy wieczorem wszystko już ucichło w Goëllo, znajdowało się tam serce przejęte obawą: ciotka Sylwia przewidywała w przyszłości wiele cierpień a może i zawodów, widząc że Gwidon w chwili niebezpieczeństwa myślał głownie o Melinie, a piękny Gaston de Sarrans zdawał się nie widzieć nikogo prócz jej drogiej, ukochanej Renaty.

IX.

Na lądzie.

Były notaryusz, *poczciwina* Mercier, zaszedł daleko od owej epoki, w której spotkaliśmy go po raz pierwszy na drodze w zakurzonym kabryolecie układającego plany dowodzące że jest zarazem ojcem ambitnym i troskliwym o los swych dzieci. Od tego czasu los uśmiechał się ciągle do niego, fortuna obsypywała go hojnie darami. Wprawdzie uległa i cicha jego żona umarła, wtenczaś właśnie gdy świetne jego marzenia zaczęły się urzeczywistniać, i notaryusz płakał szczerze straciwszy tę wierną i cierpliwą towarzyszkę życia. Nie mógł jednak płakać długo, wszakże miał tyle interesów własnych, tyle zajęcia w swej kancelaryi, tyle projektów w głowie, a nadewszystko tyle rachunków z fermierami z Plouernel i la Bouërie, gdyż spadek po nieznanym mu prawie krewnym,—woda spływa zwykle do rzeki — i kilka szczęśllwych spekulacyi dozwoliły mu nabyć, sześć lat temu, piękne i rozległe dobra la Bouërie. Odtąd zaszła zupełna zmiana w sposobie życia notaryusza, zaprzestano już, mówiąc o nim, wyrażać się: ten *poczciwy Mercier*, a przyzwyczajono się zwolna nazywać go panem Mercier de la Bouërie, dla odróżnienia go od innego Mercier z Agrais, właściciela pięknej fermy w tejże okolicy. Potem nadeszły wybory. Mercier, który miał sposobność poznać w ciągu swego urzędowania tyle osób i przywłaszczyć sobie tyle tajemnic, krzątał się tak gorliwie i skutecznie, że protegowany przez niego kandydat zwyciężył swych przeciwników, a wkrótce i on sam został prawie jednozgodnie wybranym do Rady jeneralnej swego departamentu.

Od pewnego już czasu zamknął kancylaryę i mieszkał stale w la Bouërie. Syn jego Alfred przybył tam zaraz po ukończeniu nauk w Paryżu, i miał już psiarnię, ładny zbiór broni i piękne konie. Melina także skończyła nauki na jednej z najpierwszych pensyi w Paryżu. Była zawsze nadzieją i dumą ojca, który chciał jej zapewnić najświetniejszą przyszłość; pragnął ją widzieć hrabiną lub margrabiną i starał się usilnie o to aby marzenia jego zostały urzeczywistnione. Widzimy że były notaryusz pamiętał o tem aby dzieci mogły zająć godnie świetne stanowisko które wyrobił im tak szczęśliwie.

Mówimy szczęśliwie, ponieważ pan Mercier de la Bouërie, pomimo swego nagłego wyniesienia nie miał wielu przyjaciół. Mieszkańcy małych miasteczek i wieśniacy sądzą zwykle pobłażliwie spekulacye dopomagające do nabywania mniejszych lub większych posiadłości ziemskich, i najczęściej przyznają słuszność temu kto ma pieniądze w kieszeni i umie korzystać ze sposobności. Prócz tego, ten dobry pan Mercier, pomimo tak korzystnej zmiany w położeniu, był zawsze równie pokornym, jak dawniej, dla mieszkańców Goëllo, i zapewniał zawsze margrabinę o swych najlepszych chęciach i gotowości na jej usługi. Może niekiedy zbyt widocznie zajmował się czynnościami Gwidona, starał się zbyt dokładnie poznać jego zamiary, a nawet wpływać na nie, ale pochodziło to jedynie z najszczerszej życzliwości; tak był pewnym że Gwido potrafi tym czy owym sposobem dojść do majątku i będzie mógł odzyskać rodzinne dobra!

Margrabina nie wiedziała jeszcze jakim sposobem wnuk jej zdobędzie ten majątek, ale była poniekąd przekonaną że tak być powinno, że Opatrzność nie może tego odmówić ostatniemu z Plouernel'ów.

Znajdowały się jednak w Goëllo dwie osoby dla których pan Radca jeneralny nie był wcale sympatycznym. Ciotka Sylwia nie lubiła go i nie dowierzała mu zawsze; Renata czuła że ją coś odpycha od pana Mercier, ale nie umiała sobie wytłomaczyć dla czego. Starała się być dla niego uprzejmą, grzeczną, lecz go szanować nie mogła.. Były notaryusz odgadywał to ich niekorzystne dla siebie usposobienie, ale nie obawiał się ciotki Sylwii, wiedząc że jej zdania nie wywierają wielkiego wrażenia na umyśle siostrzeńca. Mało go także obchodziły uczucia Renaty, dla niego była to tylko panienka uboga, małomówiąca i dumna.

— Nikt przecie, mówił do siebie, nie wybiera żony dla jej nazwiska, a małżeństwo wtenczas tylko jest dobrane gdy żona wnosi majątek, a mąż piękne nazwisko i znaczenie. Prócz tego, pan Mercier miał trochę żalu do Renaty: najprzod że swą dystynkcyą, pięknością i niewysłowionym wdziękiem zaćmiewała poniekąd jego milutką i śliczną Meliną, pomimo że ta cieszyła się szczerze z powodzenia przyjaciółki; powtóre, że przyjmowała tylko ze spokojną wdzięcznością grzeczności i hołdy Alfreda. O dziwna sprzeczności natury ludzkiej! pan Mercier czułby równą urazę i żal do Renaty, gdyby zachęcała Alfreda do okazywania jej uczuć nie odpowiadających wcale zamiarom i życzeniom ojca. Pomimo to, drażniło go to i obrażało że przyjmowała obojętnie wszystko co przechodziło granice przyjaźni łączącej ją z jego synem od lat dziecinnych, nie rozumiał jak mogła być nieczułą na hołdy młodzieńca tak pięknego i przyszłego dziedzica dóbr la Bouërie.

— A więc, jak mówisz Alfredzie, panna Renata była wczoraj równie zimna i dumna jak zawsze, i przyjęła z widoczną przyjemnością opiekę i pomoc tego młodego paryżanina? zapytał pan Mercier, który kazał sobie opowiadać przy śniadaniu wszystkie szczegóły dotyczące wczorajszej wycieczki i burzy na morzu.

— Wybacz ojcze, nie mówiłem wcale że panna de Plouernel była dla mnie zimną i dumną, odpowiedział Alfred rumieniąc się; przeciwnie uścisnęła szczerze moją rękę i podziękowała mi z wyrazem najżywszej wdzięczności, skoro przyrzekłem że w razie niebezpieczeństwa będę się starał ocalić jej ciotkę. Pan de Sarrans zbliżył się pierwszy do niej i ofiarował jej w pełnych zapału słowach swą pomoc i opiekę, gdy ja nie wyrzekłem ani słowa... Zdawało mi się że nie potrzebuję zapewniać iż może rachował na mnie... To mnie najwięcej martwi i drażni że grzeczności tych nowych znajomych zdają się sprawiać jej wiele przyjemności, że ją

cieszą piękne słówka pani de Sarrans, a spojrzenia i hołdy pana Gastona wprawiają w zamyślenie... słowem, że dla nowych przyjaciół zapomina prawie o dawnych.

— Słuchaj Alfredzie, odezwał się poważnie ojciec, kładąc nóż i widelec, zazdrość nie powinna nam odbierać zdrowego sądu o rzeczach. Podług mnie, to co mówisz, byłoby zupełnie prawdopodobne gdyby szło o kogoś innego a nie o pannę Renatę. Kobiety, mój chłopcze, a zwłaszcza młode, są jak nocne motyle, pędzące na oślep za tem co pali i błyszczy... uganiające się za wszystkiem co nowe, nieznane... Ale możesz mi wierzyć że panny de la Plouernel nie można o to posądzać. Dla nas, mój biedny chłopcze, nie zmieniła się wcale: jak była, tak jest zawsze zimną i dumną. Odziedziczyła cały blask, ale też i całą pychę swej rasy, i pamięta zawsze że my z tej rasy nie pochodzimy... Ci nowo przybyli są Paryżanami, umieją błyszczeć, pozować, a choć nie posiadają żadnego tytułu, otarli się trochę o arystokratyczne przedmieście, i to zbliżyło się trochę do niej... Trudno wymagać, Alfredzie, aby nam biednym parafianom dawała nad nimi pierwszeństwo; byłoby to zresztą niewłaściwem i nierozsądnem. Trochę zaufania, uprzejmości, to już wszystko czego się możesz spodziewać!.... Mój chłopcze, słuchaj uważnie tego co ci jeszcze powiem, i bądź pewnym że się nie mylę: panna Renata piękna ale uboga, pójdzie może do klasztoru, ale za mieszczanina, nigdy!... Zastosuj się do tego i nie zaprzątaj sobie napróżno głowy.

— O! mój ojcze, czy nie przesadzasz trochę? Nie zdaję mi się aby tak było rzeczywiście, zawołał wzruszony i zatrwożony Alfred. Mówisz że panna Renata nie mogłaby przywiązać się szczerze do takich mieszczan jak my, a jednak jakże dobrą i tkliwą przyjaciółką jest dla Meliny, ileż już dała dowodów szczerego do niej przywiązania. Więc tylko ja, ja sam!... Wyszeptał spuszczając oczy, a serce jego dokończyło ciszej jeszcze. Ja jeden miałbym być wzgardzonym.... nieszczęśliwym!

— Zapominasz o mnie, zawołał śmiejąc się głośno Mercier: czy sądzisz że panna Renata kocha mnie tak bardzo, dla tego że gdy przyjadę do Goëllo, podaje mi na powitanie swoją białą łapkę z uśmiechem i spojrzeniem, które pomimo swej słodyczy, każą mi się trzymać zdaleka od niej? Co do jej przywiązania do Meliny, przyznaję że jest szczere i prawdziwe, ale to niczego nie dowodzi. Gdzież naszej Meliny nie przyjmują chętnie? Kto jej nie lubi? Czy zresztą kobiety nie posiadają już z natury tej jakiejś elegancyi i dystynkcyi, której nam tak często brakuje. Tak, Melina jest równie ujmująca jak piękna, a jej wykształcenie i ułożenie czynią ją godną najświetniejszej przyszłości... I mówisz Alfredzie że Gwidon tak wyłącznie zajął się naszą dzieweczką i myślał tylko o tem żeby ją uratować?

— Tak, mój ojcze; chociaż milczała równie jak ja... Usiadł przy niej i wziął ją za rękę, Melina wtenczas spojrzała na niego, i tem spojrzeniem dała mu poznać że go zrozumiała i że mu dziękuje. Zadziwiło mnie to nawet że przed chwilą bardzo blada i przestraszona, uśmiechała się teraz i odzyskała rumieńce.

— To bardzo dobrze, bardzo naturalnie, odpowiedział Mercier zacierając ręce. Ten kochany Gwidon jest tak zacny tak szlachetny! Niepodobna byłoby znaleźć sympatyczniejszego umysłu i charakteru, lepszego serca...

— Bądź ostrożnym, ojcze, odezwał się Alfred; gdyby też Melina, której od lat dziecinnych okazywał tyle życzliwości, przywiązała się do niego?...

— No, to i cóż? odpowiedział spokojnie były notaryusz.

— Ale, mój ojcze, Gwidon jest margrabią... i ubogim. Przebacz mi, ale sądziłem że to są dla ciebie dwie ważne przeszkody... a nawet niepodobieństwa.

— Jakie też z ciebie dziecko! odpowiedział Mercier z uśmiechem. Czy zapomniałeś że przed chwilą mówiłem ci że takie małżeństwa są najlepiej dobrane, gdzie mąż przynosi piękne nazwisko a żona majątek. Gwidon jest ubogi ale nosi piękny tytuł i ma piękne nazwisko. Czegóż więcej można żądać?

— Jakto! mój ojcze, myślisz?...

— Obecnie jeszcze nic nie myślę... Zobaczymy... Chciałbym wiedzieć czy Melina już wstała; spodziewam się że jej nie zaszkodziła ta wczorajsza przymuszona kąpiel, a nadewszystko... wczorajsze wzruszenia. Już późno, a nie powiedziała mi jeszcze dzieńdobry. Proszę cię, Alfredzie, dowiedz się czemu nie przyszła do nas?

Alfred wyszedł natychmiast i wkrótce uwiadomił ojca że Melina zdrowa i dawno już wstała, a nie przyszła dla tego jedynie że jest zajęta jakąś bardzo pilną robotą, którą chciałaby skończyć jak najprędzej.

Mercier wzruszył ramionami i kazał powiedzieć Melinie aby przyszła z robotą do salonu. Po chwili ukazał się tam niosąc w ręku coś podobnego do firanki z weneckich koronek.

— Cóż to jest? zapytał pogardliwie pan Mercier, wskazując palcem jej delikatną robotę. Czy zamierzasz łowić tem ryby w morzu? Pfe, córeczko! dla takiej sieci zapominasz powiedzieć ojcu dzieńdobry!

— Przebacz mi, drogi ojczulku, rzekła Linetta, ale takbym chciała dokończyć to jak najprędzej! Jest to pokrycie na toaletę, które chcę dać Renacie w dniu jej imienim.

Mówiąc to, rozpostarła na kanapie swoją robotę, która tak pięknością deseniu jak cienkością i przejrzystością dorównywała drogim koronkom.

— Aha! więc to wiązanie dla panny Renaty, powiedział Mercier pocierając brodę jakby obliczał coś w myśli. Dobrze, bardzo dobrze, nie mam nic przeciwko temu... Ale nie o tem chciałem mówić z tobą... Czy wiesz że muszę odwiedzić pana Gwidona i podziękować mu w twojem i mojem imieniu za to co wczoraj uczynił dla ciebie... to jest co gotów był uczynić. Zasłużył sobie na naszą wdzięczność... Zresztą już od dziesięciu lat jest twoim prawdziwym przyjacielem... Wiesz co, skoro nadejdą jego imieniny,—żałuję tylko że nie wiem kiedy wypadają,—pomyślimy, jeźli zechcesz, o jakim pięknym dla niego upominku.

Wspomnienie wypadków dnia ubiegłego wywołało na usta Linetty błogi uśmiech. Pewność że jest kochaną napełniła wtenczas jej serce pełnem słodyczy uczuciem, a teraz miłem jej było przypomnienie tej chwili, w której zapomniała prawie o burzy i niebezpieczeństwie, dla tego że Gwido spojrzeniem i uściśnieniem ręki nakazał jej poniekąd ufność i nadzieję. Jednak zdawało jej się co najmniej niepotrzebnem mówić teraz o tem błogiem uczuciu jakiego wówczas doznała. Dla tego też usiadła przy ojcu, odrzucając pełnym wdzięku ruchem głowy długie jasne loki, spadające jej na ramiona, i rzekła spokojnie:

— Nie wiem wcale kiedy przypadają imieniny pana Gwidona, ale jeźli zobaczę że Renata zajmuje się jakąś robótką dla niego, dopomogę jej chętnie, pomimo że będzie to prawdopodobnie cóś szkodliwego: cygarniczka, pas do fuzyi... Panowie mają tak szkaradne nawyknienia!

— Na które jednak młode panienki patrzą bardzo pobłażliwym wzrokiem, zawołał Alfred. Jeżeli nasze nawyknienia są tak złe, to czemuż, mała zwodniczko, mówiłaś już nie raz że cygara Gwidona mają prawie miły zapach? Czemu podziwiasz trafność jego strzałów, widząc myśliwską jego torbę napełnioną bekasami? Czemuż nakoniec, opatrywałaś kiedyś tak troskliwie ucho jego ulubionego charta?

Alfred wypowiedział te słowa z uśmiechem, i nie czekając na odpowiedź, wyszedł z salonu; zdaje się jednak że uśmiech ukazał się na jego ustach tylko dla ukrycia westchnienia.

Zaledwie wszedł do ogrodu, usiadł na ławeczce, i wsparł głowę na ręku.

— Niepotrzebnie troszczyłem się o Melinę, pomyślał. Nie wie nawet kiedy Gwidon obchodzi imieniny... Czy ja mógłbym zapomnieć o imieninach Renaty!

Po chwili, posłyszawszy kroki ojca, wstał, wszedł w cieniste ulice ogrodu i zapuścił się aż do lasu gdzie błądził długo samotnie. W czasie tej przechadzki nasunęła mu się myśl pocieszająca: jeźli ojciec jego pragnie, jak się zdaje, połączyć się z Plouernel'ami, jeźli w skutek jakiegoś nieprzewidzianego zbiegu okoliczności, Gwidon ożeni się kiedyś z Meliną, w takim razie pomiędzy nim i Renatą istnieć będą stosunki rodzinne. Czy już to samo nie dozwoli mu mieć jakiejś nadziei, czy nie zbliży go trochę ku niej? Wprawdzie groziło mu niebezpieczeństwo ze strony Gastona, ale prawdopodobnie pan Sarrans wyjedzie przy koncu lata. Były notaryusz powtarzał często że każdy dzień ma dosyć swej pracy, syn jego uznał po głębokim namyśle, że każdy dzień ma dość swoich przykrości, że zatem lepiej nie smucić się przedwcześnie, i z weselszem sercem i pogodniejszem spojrzeniem powrócił do domu z tej samotnej przechadzki.

X.

Dwa bukiety.

Dzień imienin Renaty był zawsze dniem uroczystym w Goëllo. Stary dom przybierał weselszą postać, niebo stroiło się zwykle w błękitną szatę, margrabina kładła na siebie fioletową atłasową suknię, a ciotka Sylwia czepek z lila wstążkami. Był to może jedyny dzień w roku, w którym przez miłość dla siostrzenicy, ubierała się w czepeczek przerobiony według wymagań mody. Dla tego też rybacy spotykający ją w tym dniu, wiedzieli, nie zaglądając do kalendarza, czemu to panna de la Trémarais ustroiła się w czepek z lila wstążkami.

Wśród tej ogólnej wesołości Renata była najweselszą, najwięcej zadowolnioną; doznawała tego najsłodszego uczucia szczęścia jakie nam daje pewność że jesteśmy kochani. Brak tej pewności jest głównym tego powodem że stare panny, jak Sylwia de la Tremarais, są często tak sztywne i cierpkie. Rodzice, krewni, przyjaciele, towarzyszki, rozbiegli się po świecie lub spoczęli w grobie; młodsze pokolenie patrząc tylko na ich twarz zwiędłą i siwiejące włosy, nie kocha ich, co najwięcej szanuje, i one wiedzą o tem dobrze; któż je będzie kochał gdy nadejdzie starość i nieodłączne od niej słabości, gdy będą zmuszone spędzać ostatnie dni życia siedząc w fotelu cierpiące, pozbawione życzliwej opieki, znudzone i zapomniane, oczekując z utęschnieniem chwili w której z fotelu przeniosą się do grobu, po za którym Bóg wróci im szczęście, siłę wieczną młodość i wiekuistą miłość.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 28.

(Dokończenie.)

N. 25. Ubranie czarne z kapeluszem koronkowym.

Do sukien czarnych jedwabnych albo grenadynowych ubranych koronką, używane są kapelusze koronkowe, ozdobione dżetem.

N. 26. Ubranie spacerowe z pelerynką i woreczkiem „Pompadour".

Panier kończące się z przodu pod przemarszczanym plastronem, a z tyłu pod fałdowaną baskiną pleców jest odcięte od stanika Draperya tunikowa której układ widoczny jest na ryc. 26, przyszywa się na spódnicy, a z tyłu dopełnia prostym brytem. Spódnica ogarnirowana jest dwoma plisowanemi wolantami, dopełnionemi z przodu kawałkiem przemarszczania. Pelerynka z szerokim kołnierzem i rękawy garnirowane koronką. Kokardy i szeroka szarfa pompadour, z atłasu w takim jak suknia kolorze. Podszewka w nagłówku woreczka jest z pluszu w jasnym kolorze, a sznury i frendzla mogą być jedwabne, sznelowe albo złote. Kapelusz słomkowy ozdobiony koronką i wielką plerezą.

N. 27. Mantyla z ażurowemi rękawami. Krój jak do ryc. 47—48.

Obok bardzo sutego przyozdobienia pasmanteryą dżetową, albo wyszycia perełkami mniej lub więcej tło pokrywającemi, modne jest wstawianie w rękawy do mantyl i okrywek wełnianych lub jedwabnych, części ażurowych z pięknych wyrobów siatkowych lub tkaniu szenelowych. Garnirunek stanowią koronki lub piękne frendzle.

N. 28—29. Suknia z koronkowym garnirunkiem. Krój draperyi N. XIV, fig. 64. Zobaczyć stosowne ryciny na ryc. 23 i 24 w Numerze 27.

Piękne i wykwintne ubranie, z materyału gładkiego i w deseń pompadour w znacznej części przykrytego koronkami, odrobione być może zarówno z jasnego jak i z ciemnego, jedwabnego lub wełnianego materyału. Z czarnych koronek najmodniejsze są „chantilly" i hiszpańskie, z białych langwedockie, vermicelle i imitacye dawnych, prawdziwych koronek. Z materyału deseniowego dane jest 36 cent. szerokie w duże fałdy układane plisowanie, naszyte między koronkami, z przodu i z boków spódnicy, oraz część kamizelkowa i podłożenie pod przecięcia baskiny pleców. Fig. 64 daje model i miary draperyi, którą poniżej baskiny przyszywa się na spódnicy, pod koronkowemi falbanami. Dolne brzegi bryta *a* i *b* podług krzyżyków i kropek są mocno sfałdowane i w górę podpięte, a brzeg boczny 138 cent. długi, idzie skośnie na spódnicy. Tylne bryty *c* i *d* są każden oddzielnie koronką oszyte i upięte sposobem wskazanym na ryc. 29. Kokardy z wstążki $3^1/_2$ cent. szerokiej.

N. 30 — 32. Chusteczka do nosa.

Przy toaletach letnich ciągle utrzymują się w modzie chusteczki fularowe lub batystowe, ze szlakami deseniowemi kolorowemi lub przystębnowanemi z oddzielnego materyału. Na ryc. 30 widzimy chusteczkę białą batystową, z brzegami odzierganemi i ze szlakiem drukowanym niebieskim, 5 cent. szerokim; ryc. 31 przedstawia chusteczkę fularową koloru oliwkowego w rzucik ponsowy z niebieskim, przy której szlak biały dziergany w ząbki niebieskie i ponsowe i przyszyty ściegiem sznureczkowym, grubym ponsowym jedwabiem. Przy trzeciej chusteczce dany szlak zielonawo-popielaty w deseń czarny z ponsowym i niebieskim.

N. 33. Kołnierz chusteczkowy z krepy i koronki. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 74.

Podług fig. 74 szyje się kołnierz z białej krepy, oszyty z brzegów piękną 6 cent. szeroką koronką, który wykłada się podług linii kropkowanej i marszczy odpowiednio do wykroju szyi na wstążkę atłasową wsuniętą pod spód. Zmarszczenie przykryte również namarszczoną koronką, podszytą od spodu, wywiniętą na wierzch i gdzieniegdzie przyczepioną. Kokarda z białej atłasowej wstążki.

N. 34. Kapelusz z rondkiem formą daszka.

Rycina 34 przedstawia kapelusz z angielskiej słomki, z oryginalnem rondkiem podobnem do daszka przy czapce męzkiej. 3 cent. szeroka słomkowa torsada otacza brzeg rondka i główkę nad opasaniem z wstążki serge 7 cent. szerokiej, żółtawego koloru. Kokarda z wstążki i wielkie pióro przypięte podług ryc. 34.

N. 35—37. Pantofel i czepek kąpielowy z szerokim daszkiem. Krój na arkuszu N. XV, fig. 65—66 i N. XVI, fig. 67.

Przednia część pantofla dana z adamaszkowego materyału, wyszytego podług ryc. 35 jedwabiem bronzowym i niebieskim ściegiem luźnym w krzyżyki, przestębnowywane po pięć w kwadraty; wykończenie pantofla wskazaje ryc. 36. Czepek kąpielowy z praktycznym daszkiem uszyty jest z ceraty; fig. 65 daje czwartą część denka, które od *u* do *v* przymarszczą się podług daszka, a u dołu ściąga na elastykę. Przy zszyciu z daszkiem krajanym podwójnie podług fig. 66 brzegi denka wpuszczone są w środek; daszek oszyty drucikiem i objęty przystębnowaną plecionką. Opasanie z szerokiej ponsowej pletni.



N. 1. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 39 tudzież ryc. 25 w N-rze 30.

N. 2. Suknia z tuniką.

N. 38. Koszula kąpielowa z karczkiem. Krój i deseń na arkuszu N. XII, fig. 52—57a.

Podług fig. 54 kraje się z mocnego ruberu przednią i tylną połowę stanu w równej szerokości; z przodu zastębnowany obręb 37 cent. długi górny brzeg stanu lekko namarszczony wszywa się w karczek podłożony perkalem, przykrajany podług fig. 52—53. Krótkie rękawki krają się podług fig. 55. Kołnierz zakończony szerokim obrębem (krój na fig. 56), złączony jest z wykrojem szyi za pomocą prostego paska, 2 cent. szerokiego. Przyozdobienie stanowi wyszycie włóczką ponsową i niebieską; pasek, karczek i kołnierz wyszyte rzędami łańcuszka.

N. 39. Ubranie kąpielowe lub do pływania. Krój i deseń na arkuszu N. XI, fig. 48—51a.

Odpowiednio do celu na jaki ma służyć, zmienia się i materyał z jakiego jest odrobione; do kąpieli rzecznych lub pływania stosowny materyał cieńszy bawełniany, do morskich zaś wełniany lub rodzaj flanelki umyślnie na ten cel wyrabianej. Przybranie kąpielowego kostiumu, z granatowej satynki, stanowią falbanki 6 i 4 cent. szerokie, haftowane na maszynie bawełną ponsową i granatową i takież wszywki. Bluza i majtki złączone pasem 80 c. szerokim, zapięcie urządzone z boku.

N. 40. Pas robiony na drutach.

Pas jaki wiele osób słabych nosi dla ciepła, robi się z włóczki lub bawełny, wzdłuż zaczynając od dołu na 90 oczek rzędami tam i napowrót, 2 oczka gładko, 2 kręto, przybierając z każdej strony w 50 obrobieniach 82 oczka. Po 50 obrobieniach robotę spaja się i dalej robi w koło 132—150 razy, poczem gubi się co dwa obrobienia stopniowo ku górze dwa razy po 10 oczek, dwa razy po 12, dalej po 14 i po 16 oczek. Podany przez nas wymiar może być zmieniony stosownie do tuszy i wzrostu.

Opis do N-ru 29.

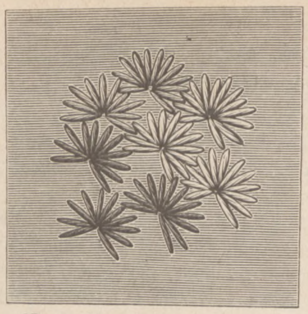
N. 1 i 39. Ubranie z vêtement. Model kroju i miary vêtement na r. 25 w N. 30.

Model czarnego ubrania miał spódnicę z materyi oszytą szeroką, w kontrafałdy układaną falbaną, z przodem fartuszkowo zagarnirowanym falbankami z materyi, 10 c. szerokiemi, oszytemi 11 cent. szeroką, lekko nadmarszczoną koronką, ozdobioną kwaśicikami z perełek. Vêtement z jedwabnej grenadyny w paski, miało krótkie, szeroko rozchodzące się przody. Na ryc. 29 w N. 30 wskazujemy w zmniejszeniu krój vêtement: podług *a* i *b* kraje się przody i boczki, podług *c*, plecy których zbywającą szerokość składa się w fałdy pod spód zachodzące; boczne trochę skośnie ścięte brzegi fałduje się podług znaków i zeszywa z gładkiemi boczkami, a szew środkowy podpina się dwoma fałdami. Chusteczkowe ubranie stanika układa się ze skośnego kawałka grenadyny, ogarnirowanego koronką i wyszytego perełkami, któren jest przemarszczony w końcach i na ramionach i przyszyty po brzegach marszczonego plastronu. Pasek i kokardy z wstążki atłasowej lub morowej 8 cent. szerokiej.

wie rękawa. Drugie proste, złączone trzema kokardami na spodnim szwie rękawa.

N. 2. Ubranie z tuniką i stanikiem z długą baskiną.

Model odrobiony był z materyi do cieniu, która obecnie wyrabiana jest nietylko w jednym kolorze, od najciemniejszego do najjaśniejszego stopniowo przechodzącym, lecz nawet w dwóch lub trzech tak samo cieniowanych kolorach, np. w pasy oliwkowe, popielate i niebieskie. Tunikę z jednego boku rozetami z gładkiego atłasu podpiętą, przyszywa się u dołu odwracanym szwem na spódnicy, a w górze wszywa się razem w pasek. Długa baskina pleców złożona jest w szeroką kontrafałdę spiętą kokardą. W przody wstawiona jest przemarszczana część kamizelkowa, mająca w górze 8, u dołu 4 cent. szerokości. Górne bufki na rękawach mają 14, przy ręku 10 c. szerokości. Druga taka suknia odrobiona była z jasnopopielatego beżu w drobne paski, przybrana atłasem.



N. 3. Rzucik do haftu japońskiego ryc. 20.



N. 7. Lambrekina. Naszycie i haft kolorowy na suknie. Szlak górny patrz r. 8.



N. 4. Rzucik do haftu japońskiego ryc. 20.



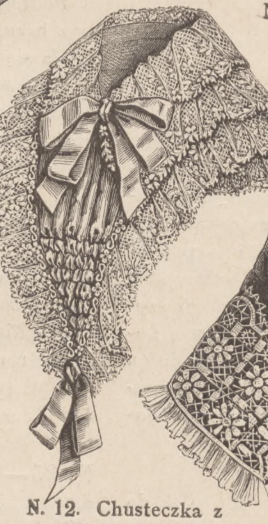
N. 9. Mankiet koronkowy.



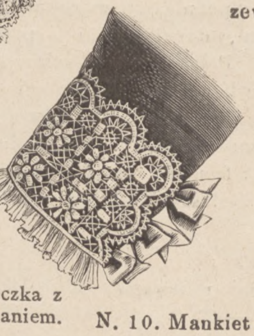
N. 11. Chusteczka z żabotem.



N. 13. Serwetka albo kwadrat haftowany. Patrz ryc. 14.



N. 12. Chusteczka z przemarszczaniem.



N. 10. Mankiet koronkowy.



N. 15. Karczek do koszuli. Robota szydełkowa. Patrz ryc. 18 i 19.

N. 11. Chusteczka z koronkowym żabotem.

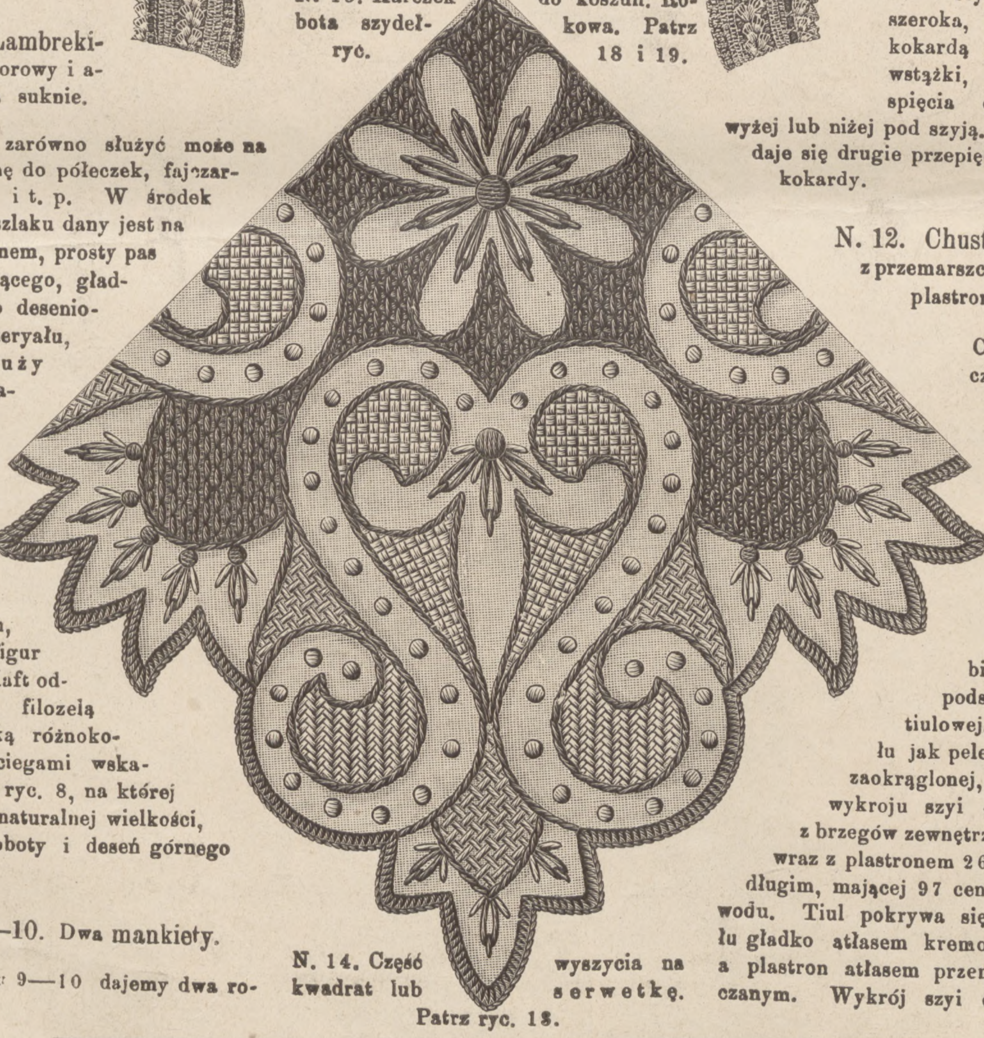
Chusteczkę stanowi trójkąt z gazy jedwabnej, mający w prostych brzegach po 40 cent. długości, 11 cent. środkowej szerokości, a 2 cent. z brzegów, zewnętrzne brzegi oszyte są ranwersem gazowym, 3 cent. szerokim, w wązkie podłużne fałdy ułożonym, w końcach chusteczki spiczasto zwężonym. Kawałki podwójnie złożonej gazy, mające 5 cent. długości, 5 górnej a 4 dolnej szerokości przyszywa się do rogów chusteczki w ten sposób, iż zbywająca szerokość jest na wewnątrz wystąpiona i powiększa wykrój szyi. Kosztowna, 7 cent. szeroka, brabancka koronka, jest przy wykroju wywinięta, u dołu gładko, a z przodu wachlarzowo naszyta. Patka z drobno fałdowanej gazy, 3 c. szeroka, ozdobiona kokardą z wązkiej wstążki, służy do spięcia chusteczki wyżej lub niżej pod szyją. Niżej daje się drugie przepięcie bez kokardy.

N. 7—8. Lambrekina. Haft kolorowy i aplikacya na suknie.

Deseń zarówno służyć może na lambrekinę do półeczek, fajczarni, koszy i t. p. W środek górnego szlaku dany jest na tle sukiennem, prosty pas z błyszczącego, gładkiego lub deseniowego materyału, któren służy także na aplikacyą do pojedyńczych, dalszych figur deseniu. Haft odrabia się filozelą lub włóczką różnokolorową, ściegami wskazanemi na ryc. 8, na której dajemy w naturalnej wielkości, próbkę roboty i deseń górnego szlaku.



N. 16. Suknia z długim paletotowym stanikiem.



N. 14. Część kwadrat lub wyszycia na serwetkę. Patrz ryc. 13.

N. 12. Chusteczka z przemarszczanym plastronem.

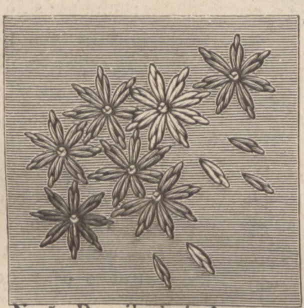
Chusteczkę robi się na podszewce tiulowej, z tyłu jak pelerynka zaokrąglonej, przy wykroju szyi 40, a z brzegów zewnętrznych, wraz z plastronem 26 cent. długim, mającej 97 cent. obwodu. Tiul pokrywa się z tyłu gładko atłasem kremowym, a plastron atłasem przemarszczanym. Wykrój szyi oszyty wązką wstążką atłasową, na którą wywinięta jest nadmarszczona, 8 cent. szeroka, alansońska koronka, także fałdowana koronka naszyta jest na kołnierzyku i koło brzegów. Gdzie koronka nie zachodzi jedna na drugą przyszycie, pokrywa medaljonowa tasiemeczka koronkowa. Dolne końce plastronu są zeszyte ze sobą, dalej zapina go się nieznacznie. Kokardy



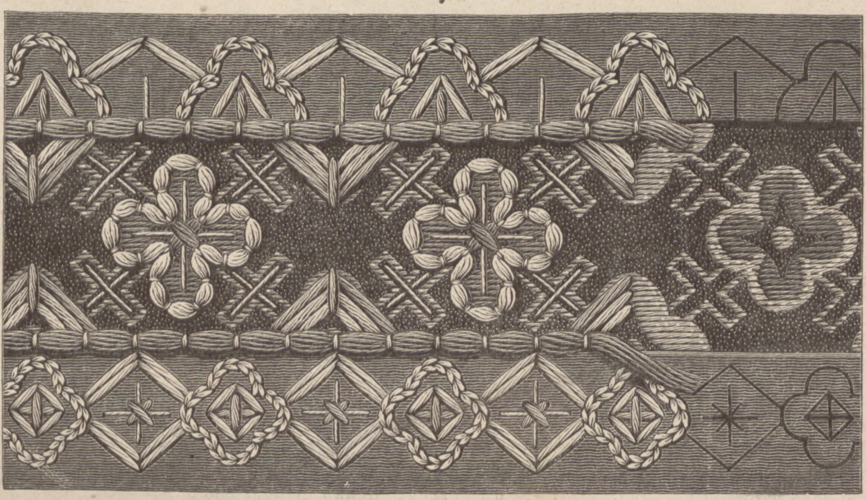
N. 17. Suknia ze stanikiem z krótką baskiną. Patrz r. 39.

N. 9—10. Dwa mankiety.

Na ryc. 9—10 dajemy dwa rodzaje szerokich mankietów, odpowiednich przy dużych kołnierzach lub chusteczkach, zarówno do długich obcisłych jak i do szerszych, za łokieć dochodzących rękawów. Mankiety mogą być ze wstawek haftowanych i koronkowych jak na r. 9, lub koronkowe jak na rycinie 10. Pierwsze są w ząb ścięte i złączone jedną kokardą ze wstążki, na zwierzchniej poło-



N. 5. Rzucik do haftu japońskiego ryc. 20.

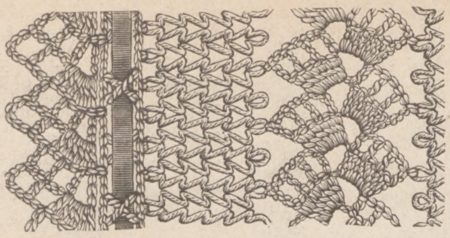


N. 8. Szlak górny do lambrekiny ryc. 7.

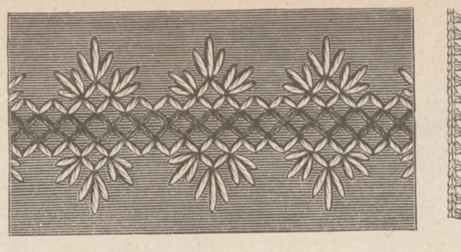


N. 6. Rzucik do haftu japońskiego ryc. 20.

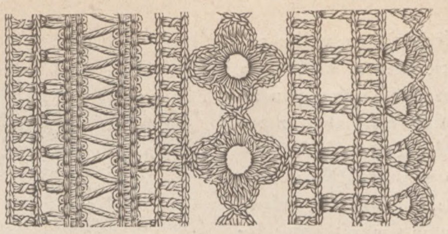
z wązkiej kremowej wstążki atłasowej.



N. 18. Część roboty szydełkowej przy szerokiej torsadce do karczka ryc. 15.



N. 25. Szlaczek do ryc. 24.



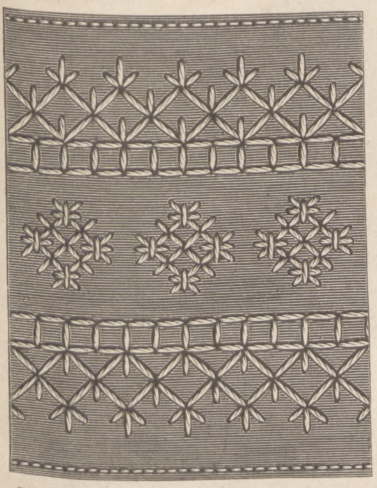
N. 19. Robota szydełkowa z torsadką fabryczną, odpowiednia do ryc. 15.

N. 13 — 14. Serwetka albo kwadrat haftowany.

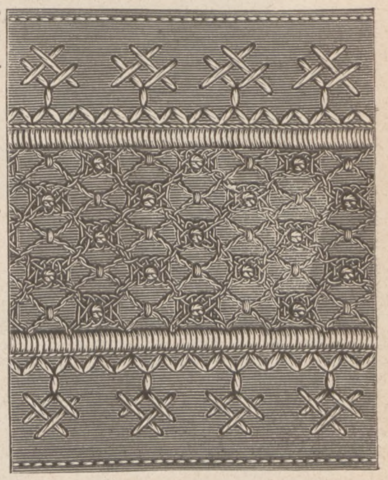
Na ryc. 14 dajemy trochę więcej jak $1/4$ część deseniu i wyraźnie wskazujemy rodzaje ściegów do haftu na płótnie różnokolorową bawełną lub jedwabiem dobrym do prania. Kontury deseniu odznacza się ściegiem sznureczkowym lub dzierganym, na modelu z płótna szarego kontury robione były kolorem niebieskim, tło środkowe zapełnione krzyżykami, kolorem szafirowym, tło w górnej części figur arabeskowych było gęsto zacerowane podwójną nitką, kolorem blado-niebieskim, niżej rzadkie kraty wyszyte ponsowo, a ścieg pleciony robiony był kolorem złotym. Haft taki tem się wyróżnia, że tło całe jest rozmaicie zaszyte, a deseń pozostaje niezahaftowany tylko drobnemi muszkami i listkami różnokolorowemi o dobiony. Deseń służyć może na małą serwetkę do mebli, lub równo z brzegów zakończony, stanowić kwadrat, użyty naprzemian z kwadratami z siatki gipiurowej, na kapy lub dużą serwetę na stół.



N. 20. Poduszka do kanapy. Haft japoński. Patrz r. 3—6.



N. 26. Szlak wyszyty ściegiem luźnym, do ryc. 24.



N. 27. Szlak z wszywką nicianą i wyszyciem, do ryc. 24.



N. 21. Żabot upięty z chusteczki.



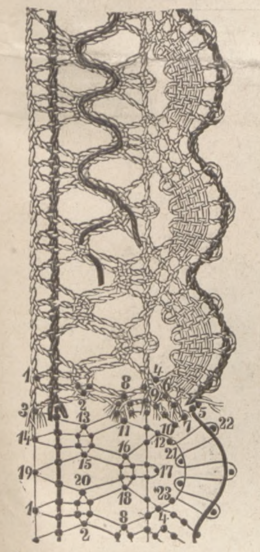
N. 22. Kapelusz ubrany wstążką do cieniu.



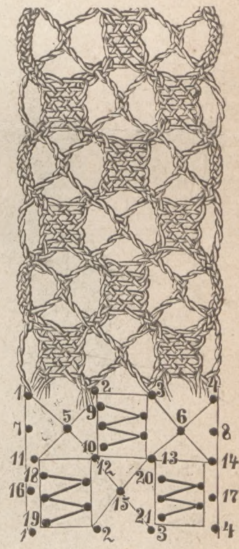
N. 23. Kapelusz ubrany cieniowanemi piórami.



N. 24. Fartuszek dla piastunki. Patrz r. 25—32.



N. 28. Deseń na koronkę nicianą robioną ręcznie.



N. 29. Deseń na wszywkę nicianą.

N. 16. Ubranie z długim paletocikowym stanikiem.

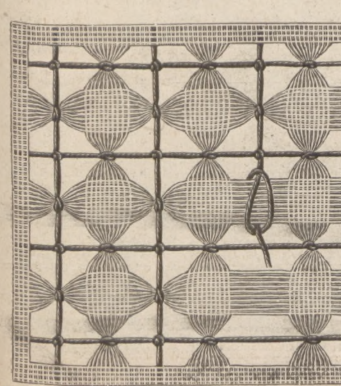
W miejsce zmudnych i pracowitych haftów i aplikacyj obecnie do sukien letnich używane są bardzo wązkie metalowe sutaże, naszywane pare razy jeden przy drugim. Bardzo ładna była suknia z blado-niebieskiego zefiru, naszyta kilka razy rząd przy rzędzie, plecionką złotą i stalową, szerokości słomki. Na spódnicy z bardzo szerokim plisowanym wolantem, upięta była tunika rozchodząca się do boków w dwa spiczaste zęby, dopełniona z tyłu draperyą z prostego bryta, pod którą, u dołu dodana była część plisowana. Długi paletocikowy stanik, ozdobiony szalowym kołnierzem i kieszonkam jest długo otwarty u dołu, przy szwie środkowym pleców.

N. 17 i ryc. 39. Ubranie ze stanikiem z krótką baskiną.

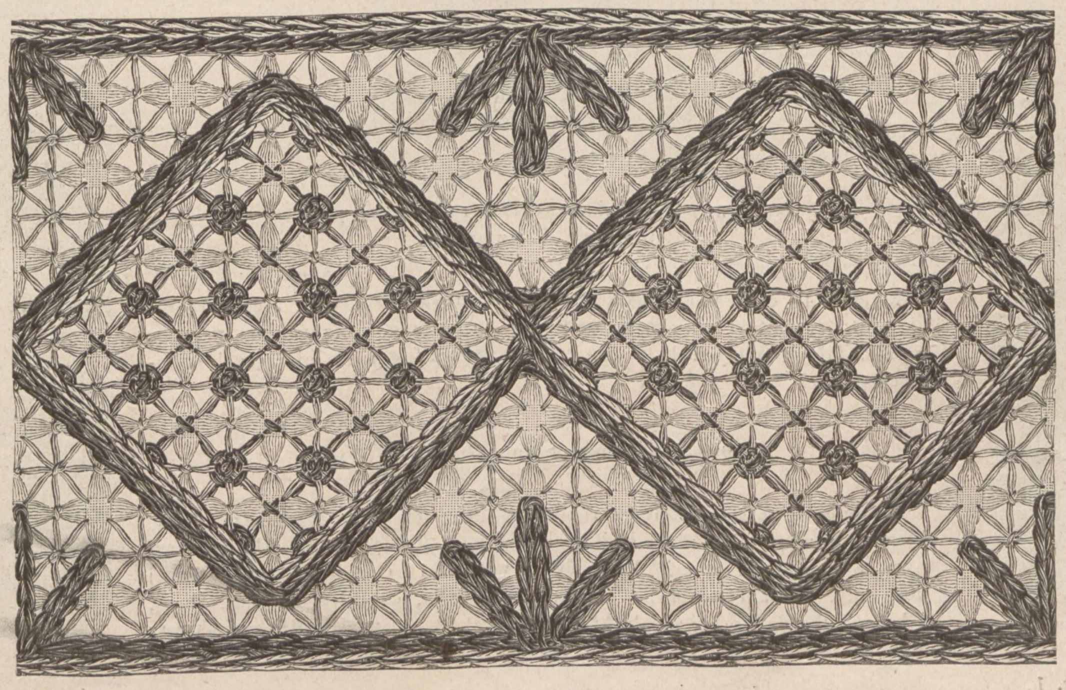
Ryc. 17 i 39 przedstawia z przodu i z tyłu strojną suknię czarną, bogato ozdobioną koronką i kokardami ze wstążki 5 cent. szerokiej. Przedni i tylny bryt spódnicy zrobionej z gładkiej jedwabnej materyi, u dołu oszytej 16 cent. szeroką, w kontrafałdy układaną atłasową falbaną, zagarnirowany jest trochę nadmarszczoną, 10 cent. szeroką koronką, zachodzącą jedna na drugą. Na stanik i draperyę otwartą do dołu w górze zaszytą w potrójną fałdę i spiętą kokardami ze wstążki i koronki, użyta była deseniowa jedwabna grenadyna. Tylne brzegi draperyi w górze sfałdowane i pod szerokie kokardy i szarfy podchodzące, są na sukni przyszyte. Stanik z krótką baskiną z boku zapinany, w górze podłużnie wycięty, opasany jest w fałdy złożoną, 17 cent szeroką szarfą morową, z przodu spiętą rozetą ze wstążki i koronki z tyłu w długie kokardy i końce przewiązaną. Kapelusz z bronzowej słomki ubrany takąż wstążką, długiem strusiem piórem i koronką.

N. 20. Poduszka do kanapy. Haft japoński. Rzucik na ryc. 3—6.

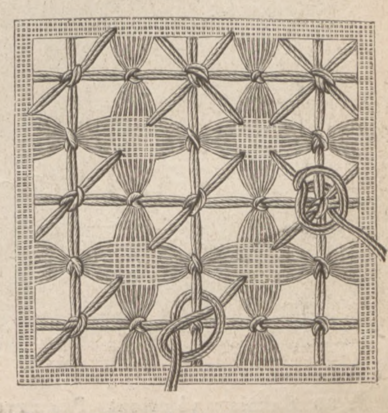
Na ryc. 3—6 dajemy wzór



N. 30. Wiązanie kratek ażurowych do ryc. 24. Zwiększone.



N. 31. Szeroki pas kratki ażurowej, z wyszyciem kolorowem do ryc. 24.



N. 32. Wiązanie kratek w szerszym pasie do ryc. 24. Zwiększone.

i wskazujemy rodzaje ściegów do rzuciku zapełniającego tło poduszki; deseń większych kwiatów podamy w następującym arkuszu z formami. Można także dać aplikacyą z zahaftowanych i wyciętych figur z kolorowo malowanego kretonu lub welwetu. Na modelu haft 30 cent. wysoki, a 40 szeroki, robiony był na atłasie kremowym dwunitkową filozelą, której kolory mogą być dowolnie do-



N. 33. Kapelusik ubrany wstążką.

brane. Zwykle do haftów japońskich używa się kolorów żywych; na modelu liście i gałązki robione były różnemi świeżemi, zielonemi cieniami, a kwiaty niebieskiemi, różowemi, lilla i bordo do cieniu. Dolny i górny brzeg poduszki oszyty był pasem z szafirowego aksamitu. Sznur i kwasty jedwabne w mieszanych kolorach tła i haftu.

N. 21. Żabot z kolorowej chusteczki jedwabnej.



N. 35. Suknia krótka ze stanikiem pod szyję. Patrz ryc. 19 i 22 w N 30.

N. 36. Suknia z trenem i wyciętym stanikiem. Patrz ryc. 21 w N. 30.

N. 23. Kapelusz ubrany piórami do cieniu.

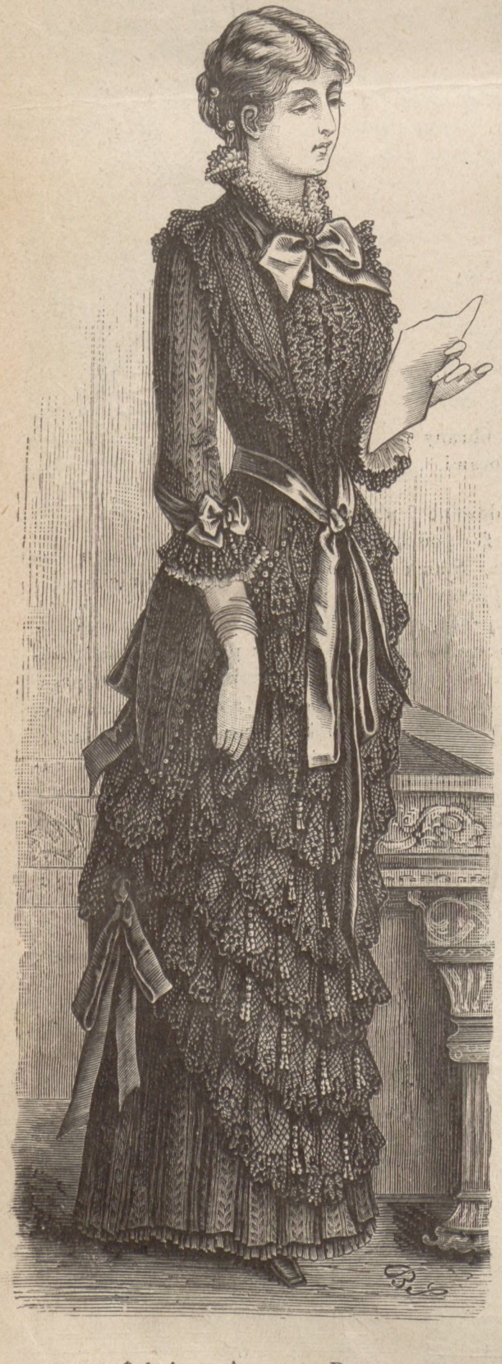
5 cent. wysoka główka cienkiego słomkowego kapelusza, otoczona jest dwoma strusiemi piórami, ognisto-żółtego koloru do cieniu; 11 cent. szeroka, miękka wstążka surah, słomkowego koloru, gładko przez wierzch główki przepasana, z boku w węzeł związana, stanowi szarfy lekko przerzucone pod brodą.



N. 34. Kapelusik ubrany kwiatami.

N. 23—32. Fartuszek dla piastunki.

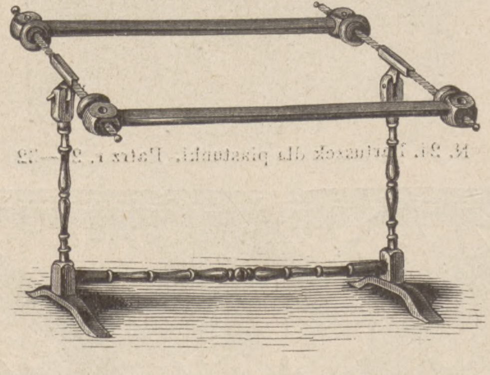
Model trzymający bez koronki 74 cent. długości a 63 szerokości, zrobiony był z płótna białego, a ozdobiony kratkami, haftem krzyżowym i wyszyciem kolorowem. Kratki ażurowe wyciągane w płótnie wiązane były i wyszywane bawełną kolorową. *(D. n.)*



N. 39. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 1.



N. 37. Krosienka stojące. Patrz ryc. 38.

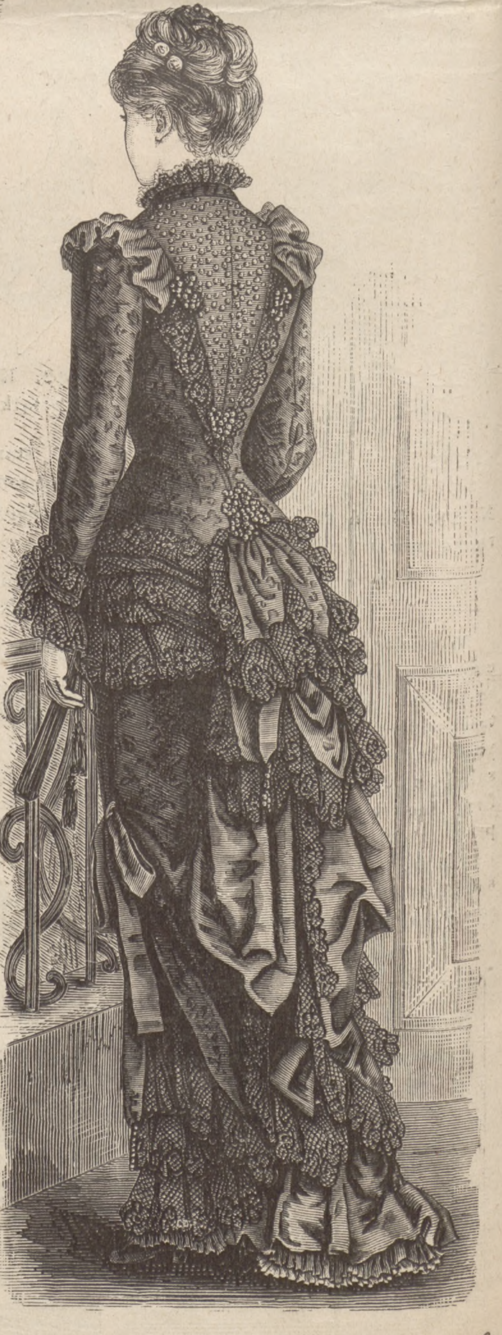


N. 38. Krosienka osadzone ruchomo na postumencie. Patrz ryc. 37.

Mającej 40 cent. w kwadrat, oszytej koronką vermicelle, 7 cent. szeroką, złożonej skośnie w sposób wskazany na rycinie, zaszywa się w górze w kilka fałdek spiętych haftkową agrafką, ze szlifowanych mieniących stalowych perełek.

N. 22. Kapelusz ubrany wstążką do cieniu.

Koronkowe torsady zdobiące rondo i główkę ażurowego kapelusza, wyrabiane były ze słomki i nitek stalowych. Rondo podszyte było atłasem czarnym, a główka różowym. Kokardy ze wstążki 10 cent. szerokiej, różowej do cieniu. W miejsce barby z tiulu lub materyi, dana jest 90 cent. długa, z boku kokardą złączona gałązka liści i pączków różanych, wdzięcznie twarz okalająca.



N. 40. Suknia czarna. Plecy do ryc. 1 w N-rze 27.



Pl. 471.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.